



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

ROK 1924. WARSZAWA, 21 CZERWCA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY

## TREŚĆ NUMERU:

Po drodze do naprawy Skarbu—*m. b.* Istota i zadania Puerikultury — *Dr. Nemo.* Sposoby badania uzdoinień zawodowych — *C. Wal.* Jeszcze jedna ze spraw ważnych—*K. S.* Świat Kobiocy (feljeton) c. d.—*Maria Grossek-Korycka.* Drogami duszy (powieść) c. d.—*Helena Ceysingerówna* O Edwardzie Abramowskim(c. d.) — *M. Dąbrowska.* Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — *K. Bielańska.* List z Krakowa — *Wanda Miłaszewska.* Miasto entuzjastyczne—*Jotka.* Wystawa żeńskich szkół zawodowych Państwa Polskiego —*K.* Nasze szkoły muzyczne — *Wanda Mirowska.* Na polach pracy i twórczości.—*H...* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z teatrów—*W. Miłaszewska.* Wystawa — *W.* Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta.* Dodatek powieściowy: 1) Sługa (dokończenie). 2) Miejsce Starych — *Ada Negri* (autoryzow. przekł. z włoskiego *R. Centnerszwerowej*). Dodatek robót i ubiorów. **TABLICA KROJÓW.**

## PO DRODZE DO NAPRAWY SKARBU

Czytelniczkom, uważnie śledzącym bieg spraw naprawy skarbu, wiadomo, że nawet o ważnych szczegółach tej naprawy decyduje nie sejm bezpośrednio, lecz rząd na zasadzie pełnomocnictw przez sejm mu nadanych. Wobec jednak obojętności i niezrozumienia, panującego wśród ogółu naszego społeczeństwa względem najważniejszych spraw, decydujących nie tylko dla dobra, lecz wprost dla istnienia Państwa, nie od rzeczy będzie w związku z nowym etapem w rozwoju naprawy skarbu przypomnieć, jak się ono dokonywa.

Już przed rokiem, najmniej nawet świadomy obywatel czuł, że Polska z zawrotną szybkością stacza się na dno finansowego upadku. Z dnia na dzień rosły ceny, a równocześnie spadała wartość marki, co właśnie było przyczyną wzrostu drożyzny. Ludzie, opierający swą egzystencję na pracy, czy to umysłowej czy fizycznej, nie mogli wystarczyć

żadnym otrzymanym dodatkiem drożyznianym. Fabrykanci i rzemieślnicy nie umieli przeprowadzić żadnej kalkulacji, wyrabianych w owych zakładach towarów, ani wykonywanych robót. Do pewnego czasu towary polskie, obliczane u nas w kraju w zawrotnej ilości marek, przedstawiały się przecież tanio w stosunku do produktów państw, konkurujących z nami na rynkach zagranicznych, i znajdowały tam zbyt ułatwiony. Z czasem jednak koszt surowców, sprowadzanych dla naszej wytwórczości z zagranicy, wzmógł się tak bardzo skutkiem spadku naszego pieniądza, że koszty produkcji w Polsce przerosły zagraniczne. Towary nasze były zbyt drogie wobec towarów państw o lepszej walucie, wewnątrz kraju zaś nie znajdowały nabywców, bowiem masa ich żyła w beznadziejnej pogoni za pędzącą drożyzną przedmiotów najpierwszej potrzeby. A zakłady graficzne drukowały coraz większe ilości marek, bowiem wartość każdego towaru

i każdej usługi wyrażała się w coraz większej ich liczbie. Wszystko to było wynikiem położenia Skarbu, bliskiego bankructwa. Czytaliśmy z miesiąca na miesiąc o coraz wyższem zadłużaniu się Skarbu Państwa w P. K. K. P. (Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa), bowiem rząd, nie mając dostatecznych dochodów na szkoły, wojsko, urzędników i inne wydatki, musiał skądkolwiek brać na nie. Drukowano przeto marki i skarb je sobie pożyczał. Cóż więc za wartość mogły te marki przedstawiać, skoro stało za nimi poręczenie dłużnika, nie tylko nie wywiązującego się ze swych zobowiązań, ale brnącego w coraz większe długi.

Tymczasem sejm radził, usuwał gabinet za gabinetem. Zmieniali się ministrowie skarbu, każdy rozpoczynał robotę projektów od nowa, ale nim zdążył pierwszy projekt wcielić w życie, już schodził z widowni. I znów oglądano się za nowym cudo-

którego usuwano, zanim cośkolwiek zdołał uczynić.

Obecny minister skarbu i prezes gabinetu Władysław Grabski znał położenie skarbu z dwukrotnego swego doświadczenia i z obserwacji. Wogóle znalazł się w tyle szczęśliwej sytuacji, że objąwszy tekę skarbu w najkrytyczniejszej chwili, mógł korzystać z nauk smutnej przeszłości. Widzieliśmy już wówczas, że nikt nam z pomocą nie przyjdzie, że fatalna opinia skarbu polskiego wyklucza możliwość uzyskania pożyczki z zagranicy na warunkach, nie przynoszących krzywdy honorowi Państwa. Dotychczasowa praktyka sejmu nie pozwalała przypuścić, by zdobył on się na zgodność poglądów i szybkość decyzji, które wogóle ujawniają się w ciałach parlamentarnych niezmiernie rzadko i nigdy na dłuższy okres czasu. Skoro jednak konstytucja naszego Państwa, jak każdego państwa demokratycznego, uzależnia wprowadzenie każdego podatku i wogóle wszelkiego poważniejszego zarządzenia finansowego od uchwały sejmu, znaleziono wyjście z tego błędnego koła przez udzielenie rządowi, a właściwie ministrowi skarbu wyjątkowych pełnomocnictw. Ustawa z dn. 11 stycznia 1924 r. o naprawie skarbu państwa i reformie walutowej wytyczyła najogólniejsze granice zamierzonych reform, pozostawiając ich wypełnienie rządowi. To też wszystkie reformy skarbowe ubiegłego półrocza

(nowe podatki, zaprzestanie druku marek, wprowadzenie złotego i t. d.) wprowadzono nie drogą zwykłą t. zn. przez ustawy sejmowe: Projekty ministra skarbu po otrzymaniu formalnego zatwierdzenia całej rady ministrów ogłoszone są jako dekrety Prezydenta Rzeczypospolitej, równoważnie z ustawami sejmowymi. W ten sposób sejm wobec naglącej konieczności sprężystego i spieszego działania ograniczył się sam w swych prawach, bo zresztą nikt inny uszczupliłby ich nie mógł. Jednocześnie przecież, dla utrzymania zasady stanowienia o finansach państwa wyłącznie przez sejm, ustawa z d. 11-go stycznia 1924 r. jak już powiedziano, dała ogólne ramy dla działalności ministra skarbu, przytem ograniczyła to jego upoważnienie na przeciąg półrocza, t. j. do końca czerwca roku bieżącego.

Ten krok energiczny i logiczna, niezłomna działalność ministra Grabskiego wydały już owoce. Mamy budżet równomierny i wydatki państwowe nie przekraczają dochodów dzięki temu, że te ostatnie podniosły się przez nałożenie i pobranie w odpowiednich terminach podatków. Mamy nową walutę złotą, opartą o zapas kruszczy i innych walorów rzeczywistych i dzięki temu utrzymującą swój kurs bez zmiany. W związku z tem ceny również nie ulegają znaczniejszym wahaniom.

Ten przełom ku uzdrowieniu państwa nie przechodzi bez ciężkiego przesilenia gospodarczego. Zwłaszcza produkcja—przemysł i rolnictwo—zmuszone do złożenia znacznych ofiar, odczuwają brak gotówki i kredytu, co pociąga za sobą ograniczenie wytwórczości i redukcje personelu. W gospodarce państwowej również potrzeba dalszych oszczędności i nowych źródeł dochodu. I oto dla ugruntowania naprawy skarbu, dokonanej przez ustawę z d. 11 stycznia i przez wydane na jej podstawie rozporządzenia, sejm przeprowadza drugą ustawę o dalszych pełnomocnictwach skarbowych dla rządu pod nazwą ustawy o wzmocnieniu gospodarki skarbowej i społecznej. Nowy projekt obejmuje: przeprowadzenie oszczędności w gospodarstwie państwowem; zabezpieczenie skarbowi państwa źródeł dochodowych, niezbędnych dla zachowania równowagi budżetowej; zabezpieczenie mu źródeł na pokrycie wydatków nadzwyczajnych, koniecznych ze względu na naszą przyszłość gospodarczą i kulturalną; przeprowadzenie oszczędności w gospodarce samorządów; wreszcie wzmoczenie i ułatwienie obrotu pieniężnego i kredytowego oraz szereg postanowień mniejszej wagi.

Po uchwaleniu projektu ustawy o wzmocnieniu gospodarki zaznajomimy czytelniczki z szczegółami jej treści.

m. b.

## ISTOTA I ZADANIA PUERIKULTURY

Ellen Key określiła wiek dwudziesty mianem „Stulecia dziecka”. Oczywiście w chwili wydania tak zatytułowanej książki głośnej pisarki szwedzkiej było to proroctwem raczej, niż stwierdzeniem faktu. Bowiem dzisiaj dopiero zaczyna nauka o dziecku—pedologia — właściwie pajdologia — i, związana z nią najściślej, sztuka hodowania dziecka — puerikultura — wychodzi poza ciasne dotychczasowe ramy świata lekarskiego i przenikać do szerszego ogółu najbardziej nią zainteresowanych rodziców i wychowawców.

Jak bardzo ogółowi temu i na Zachodzie nawet potrzebne są fachowe wyjaśnienia, czem jest właściwie owa puerikultura i na czem polegają jej zadania, świadczy olbrzymie zainteresowanie się publiczności francus-

kiej wykładami, jakie wygłasza obecnie w tej sprawie w Paryżu, w Ecole de Puériculture de la Faculté de médecine (fundacji franko-amerykańskiej) słynny apostoł eugenetyki\*), prof. Pinard.

\*) Eugenetyka—tak pierwotnie zwała się nauka ta, pochodząca od greckiego wyrazu eugenos (dobry ród), zawdzięcza powstanie swoje przed 60-imi laty opatowi z Brna morawskiego, Mendelowi, który, dzięki badaniom swoim, przeprowadzonym nad krzyżowaniem zwierząt i roślin, odkrył prawa, według których pewne cechy dziedziczą się w określo-nym stosunku matematycznym. Łącząc np. groch wysokopienny z niskopiennym, otrzymywał on stale pierwsze pokolenie mieszańców, obdarzone wysokim wzrostem. Zięć Karola Darwina, Galton, przeniósł wyniki prac Mendela w dziedzinę życia ludzkiego. Dzięki niemu eugenetyka, która stała się podwaliną nauki o hodowli roślin i zwierząt, wkroczyła w dziedzinę hodowli człowieka pod nazwą eugeniki.

Uczony ten poświęca wspomniane powyżej wykłady istocie i zadaniom puerikultury, pojętej w najbardziej współczesnym jej znaczeniu. Ze względu na wielką doniosłość sprawy dla celów i dążeń, jakie kierować win-

Podstawą nauki Galtona były wyniki obserwacji jego nad stanem współczesnym społeczeństwa, stwierdzające stałe zmniejszanie się odsetki ludzi zdolnych, słusznie przypisywanych przez niego złemu dobieraniu się małżeństw, oraz niewłaściwemu wyzyskiwaniu uzdolnień, odziedziczonych przy wyborze zawodów. Stąd zadaniem eugeniki winno być stworzenie najbardziej normalnego, ewent. najbardziej uzdolnionego człowieka oraz przeciwdziałanie powstawaniu typów chorobliwych lub nienormalnych.

Takie właśnie zadania ma na celu, powołane do życia i u nas przez d-ra Leona Wernica, Polskie Towarzystwo Eugeniczne.

ny organizacją społeczeństwa naszego, będącego w owocnym stadium przetwarzania się, pozwalamy sobie podać wykłady prof. Pinard'a w najogólniejszym oczywiście streszczeniu.

Jak dalece słuszość miała Ellen Key, że dopiero wiek dwudziesty obierze dziecko za główny cel i przedmiot starań swoich i zainteresowań, świadczy najlepiej fakt, że w żadnym z sześciu wydań (ostatnie datuje z 1877-go roku) Wielkiego Słownika Akademii Francuskiej nie istnieje wyraz „puériculture”. Po raz pierwszy dopiero króciutką o nim wzmiankę znajdujemy w słowniku Littrègo. Wielki leksykograf określa wyraz ten jako „sztukę tak fizycznego jak moralnego wychowywania dzieci”, nie dodając ponad to nic.

Kiedy wreszcie w roku 1895 ten sam profesor Pinard użył po raz pierwszy terminu „puerikultura” w jednym z referatów swoich w paryskiej Akademii medycyny, wywołał uśmiech lekceważenia na twarzach słuchaczy, których grono znakomite składały największe powagi francuskiego świata lekarskiego.

Obecnie, po latach 30-tu, nauka ta w tak małym jeszcze stopniu stała się zdobyczą ogółu, że prof. Pinard uważa za wskazane specjalne poświęcać jej wykłady.

We wstępie do wykładu, który jest przedmiotem naszego artykułu, określa wytrwały bojownik puerikultury naukę tę w sposób następujący: „Jest to umiejętność, mająca na celu badanie, studjowanie i stosowanie w praktyce wszystkich zdobyczy wiedzy, dotyczących płodzenia, hodowli i doskonalenia rodzaju ludzkiego”.

W ten sposób pojęta puerikultura obejmuje cztery działy zasadnicze:

- I. Puerikultura przed poczęciem dziecka;
- II. Puerikultura od jego poczęcia do wydania na świat;
- III. Puerikultura w momencie jego narodzin;
- IV. Puerikultura od narodzin dziecka do jego dojrzałości.

1<sup>o</sup> Puerikultura przed poczęciem wychodzi z założenia, że złe nasienie, zarówno w świecie zwierzęcym, jak i roślinnym nie zrodzi nigdy owocu dobrego, pięknego i trwałego. Że zaś nie tylko poszczególni rodzice, lecz i ogół społeczeństwa w dobrze zrozu-

mianym interesie własnym dbać winien o dobro nowego pokolenia jeszcze przed przyjściem jego na świat, musi sprawa narodzin stać się wynikiem woli świadoomej i rozumnej, nie zaś, jak to się dzieje dotychczas—ślepego trafu. W dniu, w którym względ ten stanie się jedynie rozstrzygającym, urzeczywistniony będzie jeden z najbardziej zasadniczych postulatów cywilizacji. Zmaleje w znacznym stopniu liczba zwyrodniałych ofiar ciemnoty swoich rodziców, a także zastęp—tak liczny dzisiaj—rodziców nieszczęśliwych z powodu dzieci „nieudatnych”.

2<sup>o</sup> Puerikultura od poczęcia do przyjścia na świat polega na ochronie matek w okresie ciąży. W ustroju obecnym połowa ich, a bodaj więcej, pracuje w tym okresie nadmiernie; dzieci ich rodzą się przeważnie przed czasem, jako istoty niedojrzałe do życia, z uszczuploną znacznie siłą odporną, z brakiem uzdolnień wybitniejszych. Każda matka ciężarna żyć powinna w odpowiednich warunkach higienicznych, zanim wyda na świat swoje dziecko; powinna być przedmiotem stałej obserwacji lekarskiej celem możliwego zapobiegania niebezpiecznym nieraz zboczeniom i powikłaniom ciąży. Praca ciężarnych, zmuszonych do ostatniego dnia nieomal, poświęcać się, aby móc żyć, zajęciom bardziej uciążliwym dla nich, niż dla reszty kobiet, jest hańbą współczesnej cywilizacji.

3<sup>o</sup> Puerikulturze w chwili narodzin przyświecać winien przede wszystkim dogmat, sformułowany przez prof. Pinard'a, w tych słowach: „Żaden przedmiot, rzecz żadna z tych, które mają pozostać w zetknięciu z rodzącą, nie są nigdy dość czyste”. Obowiązywać winny zatem zasady najściślejszej aseptyki i sterylizacji—wyjałowienia z zarazków. Pielęgnowaniem położnic mogą zajmować się osoby odpowiednio wyszkolone, nigdy zaś przygodne, chociażby najzyczliwsze opiekunki. Ręce ich, odzież i bielizna muszą być poddane najściślejszej sterylizacji. Zbyt wiele kobiet przypłaca zdrowiem, a często życiem, niedocенianie tej maksyminy podstawowej.

4<sup>o</sup> Puerikultura po narodzeniu zaczyna się z chwilą przyjścia dziecka na świat, kończy się zaś wraz z jego dojrzałością, z rozbudzeniem się jego instynktu płciowego. W początku okresu tego nie powinno być dziecko

odłączone od matki. Ze wszystkich kręgowców jedynie dziecko człowieka zdaje się być wydziedziczonym niejako już z chwilą urodzenia. Jest nagie, bez ochrony włosów, sierści czy opierzenia, nie ma gniazda, nie umie szukać, ani wybierać odpowiedniego dla siebie pokarmu. Żadna też z nowonarodzonych istot żyjących nie wymaga w znacznie większym stopniu starań matki i jej mleka. Tutaj więc zaczynają się najważniejsze zadania puerikultury, którym sprostać mogą jedynie specjalnie do tego powołane organizacje społeczne, wprowadzające w czyn postulaty wiedzy i oparte na nich, celowe i rozumne zamierzenia prawodawców.

„Organizacja ochrony i higieny dzieciństwa jest całkowicie jeszcze zadaniem przyszłości”—konkluduje prof. Pinard.

Jeśli tak dzieje się w przodującej kulturalnie Francji, cóż dopiero dzieć się musi w krajach kulturalnie bardziej cofniętych z tych czy innych względów, jak w Polsce np., gdzie ucisk zaborców stale stawał na przeszkodzie wszelkim zabiegom reformatorskim.

Tworzenie opieki nad dzieckiem niewątpliwie należy przede wszystkim do państwa, któremu społeczeństwo nieść musi wydatną w tym względzie pomoc. U nas, niestety, niewiele w tym kierunku zrobiono. Cała opieka nad dziećmi ześrodkowana była dotychczas w wydziale Higieniczno-Lekarskim Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom, którego fundusze — dar Czerwonego Krzyża Amerykańskiego — są już na wyczerpaniu.

Wobec tego palącą staje się sprawa urzeczywistnienia projektu, zainicjowanego w roku zeszłym przez Ministerstwo Zdrowia Publicznego mianowicie: sprawa zorganizowania Narodowego Komitetu Opieki nad dzieckiem w Polsce. O ile mi wiadomo, wypracowany już został projekt ustawy „Narodowego Komitetu Obrony Macierzyństwa i Opieki nad Dzieckiem” oraz „Projekt Ustawy o Ochronie Macierzyństwa i Walce ze śmiercią dzieci”. Likwidacja ministerstwa przetrwała, niestety, bieg prac nawiązanych w tym kierunku. Zadania te powinny przejąć Ministerstwo Opieki Społecznej, powołując do współpracy pedagogów, higienistów i—matki.

# SPOSOBY BADANIA UZDOLNIEŃ ZAWODOWYCH

Nauka jest wciąż w poszukiwaniu metod, któreby pozwoliły orjentować się w wyborze fachu najodpowiedniejszego dla właściwości organicznych, umysłowych i psychicznych osobnika, wstępującego na drogę pracy zarobkowej lub przygotowującego się do niej.

Sposoby i środki, jakimi posługują się badacze, mają charakter bądź obiektywny, bądź subiektywny.

Obiektywny da się zastosować głównie do zajęć fizycznych. Naprzykład fotografowanie ruchów robotnika, zwłaszcza zdjęcia sposobem kinematograficznym, w chwili wykonywania zajęć dają pojęcie o jego sprawności i złem lub dobrem przystosowaniu się do danego kierunku pracy.

W Ameryce od lat 40 z górami został wprowadzony w wielu fabrykach system T. W. Taylora, polegający na zautomatyzowaniu pracy fizycznej, a najważniejszym czynnikiem umiejętnej automatyzacji jest odpowiednie wyzyskanie sił i uzdolnień jednostki. Dobiera się więc grupy pracowników i stawia przy robocie, najbardziej odpowiadającej ich sprawności i wyszkoleniu. Jeden będzie cały dzień opłowywał dane śrubki, drugi przykręcał je, a trzeci polerował sztaby żelaza i tak bez końca. Całe życie jedno i to samo aż do oglupienia. Ruchy są tu zredukowane do niezbędnej konieczności. Od-poczynek wymierzony i wyliczony na minuty i sekundy. Przy lżejszych robotach krótszy, przy cięższych—dłuższy. Np. przy przenoszeniu węgla i żelaza praca 43% czasu, przerwa — 57%, tym sposobem bowiem tylko osiąga się najwyższą wydajność roboty. Nie grają tu roli względy humanitarne, lecz troska o jaknajskrupulatniejsze zużytkowanie siły zwierzęcia ludzkiego. Nad każdym ruchem robotnika, którego dowolność jest wykluczona, czuwa dozorca dobrze płatny, jak dobrze płatni za swój ogłupiający automatyzm są robotnicy, których zapotrzebowanie przy systemie Taylora, stosowanym we wszystkich zakładach Forde'a (wyrób samochodów) spada do minimum (np. z 600 do 140).

Charakterystyczne jest, iż dozorca zwracają baczną uwagę, aby pracownicy, a zwłaszcza kobiety nie stały w grupach zanadto zwartych i nie traciły energii na rozmowy, kierując całą uwagę na wykończenie pracy\* \*)

Samorzutny taylorizm znalazł oddawna już zastosowanie w różnych rękodzielniczych pracach kobiet, jak:

krawiectwo, kwiaciarstwo, dziurkarstwo, i t.p. o czym wspominał już „Bluszcz” w jednym z poprzednich numerów.

System Taylora wyzyskał więc i doprowadził do doskonałości obiektywny sposób badania fizycznych uzdolnień zawodowych.

Analiza obiektywna stosowana bywa też i przy sprawdzaniu zdolności daktylograficznych. Po za sprawnością palców kontroluje się pamięć, niezbędną w tym zawodzie. Badanej daktylografce każe się powtarzać np. długie zdanie po jednorazowym usłyszeniu go. Wnioski co do uzdolnień daktylografa wyciąga się również na mocy rozważania błędów, popełnianych przez pracowników. Ta forma badań jednak wkracza już w zakres metody subiektywnej, posługującej się obserwacją, pytaniami, testami, ankietą itp.

Uczony niemiecki, dr. Münsterberg, drogą odpowiedzi na kwestjonariusze stwierdził jeszcze w 1911 r., że  $\frac{1}{3}$  z górami telefonistek po roku praktyki musi rzucać pracę przygotowawczą skutkiem silnego zmęczenia, wywołanego nieustannym napięciem uwagi. Na 20 telefonistek badanych przez Fontegne'a i Solari'ego w 1918 r. u 218 zaznaczono większe lub mniejsze zmęczenie po upływie dnia roboczego, połączone z bólem głowy i silnym zdenerwowaniem. Tylko bardzo zrównoważone, odporne i nerwowo silne jednostki mogą podejmować ten zawód.

Drogą kwestjonariuszy i obserwacji, został zbadany również fach zegarmistrzowski, wymagający specjalnej organizacji psycho-fizycznej.

Praca w tej dziedzinie polega nie tylko na zręczności palców, ale i na wielkiej równowadze wewnętrznej przy silnym napięciu intelektu, na szybkiej, bardzo trafnej decyzji w wyborze narzędzi, na zwracaniu uwagi w paru kierunkach równocześnie, a przede wszystkim—na instynkcie w chwytaniu dokładnych wymiarów. Śrubki, kółeczka, zasuwki o objętości mniejszej niż  $\frac{1}{100}$  milimetra, muszą być polerowane tak misternie, aby na jotę nie przekroczyły granicy oznaczonej.

Ten zawód zatrudnia, jak dotąd, niewiele kobiet. Jednak pewna ich garszka spełnia zupełnie dobrze zadanie, a szkoła zegarmistrzostwa, która przez czas jakiś była prowadzona w Warszawie, wykazała w kilku wypadkach nawet wybitne zdolności dziewcząt polskich do tego fachu.

\* \* \*

Wielki propagator poradnictwa zawodowego we Francji, Ferdynand

Buisson, woła: „Zbrodnią jest rzucać ucznia w świat bez żadnego punktu oparcia, bez tej potężnej broni, jaką jest w życiu człowieka mądrze obrany i dobrze do zdolności umysłowych oraz sprawności fizycznej dostosowany zawód”.

W myśl tego hasła wprowadził Kanton Genewski od 1922 r. w szkole powszechnej wykłady, mające na celu wskazywanie uczniom różnych zawodów, aby mogli zorientować się co do wyboru jednego z nich, a badanie uzdolnień zawodowych rozciągnięto już na bardzo wiele szkół we Francji, Szwajcarii, Niemczech, Ameryce i Anglii.

Metoda badań polega na rozmowach nauczyciela z uczniami, na obserwowaniu ich w szkole i po za szkołą, na kwestjonariuszach, obejmujących około stu pytań. Dotyczą one przede wszystkim wrażliwości zmysłów. Brzmia więc: „Czy uczeń widzi przedmiot słabo oświetlony? Czy chwyta słabe szmery? Czy wyczuwa delikatne zapachy? Czy rozróżnia je i umie określić? —Inne pytania dotyczą pamięci, siły, sprawności ruchów.

Dopomaga nauczycielom badanie rodziców i najbliższego otoczenia uczniów, a następnie obserwowanie gier i zabaw ich, zwłaszcza na wolnym powietrzu. Np. jeżeli chodzi o stwierdzenie instynktów orientacji w zakresie przestrzeni, cenne wskazówki daje ulubiona zabawa chłopców angielskich na wycieczkach letnich. Zawijają sobie oczy w lesie i zadają pytanie: „Kto wróci na miejsce, skąd wyszedł?” Okazuje się, że na ośmiu zaledwie jeden. Reszta albo kręci się w kółko bezradnie, albo biega w różne przeciwne strony i nie umie dotrzeć do mety.

Prócz kwestjonariuszy wprowadzone są w szkołach badania medyczne, wskazujące, jakich zawodów nie wolno podejmować ze względu na stan serca, płuc i ogólny ustrój fizyczny.

Badania antropometryczne budzą jeszcze wiele sporów. Stwierdzono np. że są typy o postaciach niskich, krępych, silne ale powolne w ruchach, są zaś długie o ruchach szybkich, co właściwie powinno być naodwrot.

Góruje nad temi wszystkimi sposobami jednak metoda testów, t. j. prób doraźnych, polegających na badaniu doświadczalnym właściwości zmysłów, zręczności i dokładności ruchów, siły mięśni, energii, woli, odporności na pracę jednostajną (systemem Taylora), na pracę w obecności czyjejś, lub w osamotnieniu.

\* \* \*

\*) Ob. „Praca” dr. Z. Daszyńska - Gołińska Warszawa. Wende i S-ka,

Czy można opierać się na badaniach, prowadzonych wśród młodzieży, która dorasta za ledwie i sto razy jeszcze zmieni upodobania swoje, której właściwości organiczne podlegają przekształceniu, wzmagają się jedne zmysły, słabną inne, i t. p.

Niesłuchanie ważnym czynnikiem przy wykonywaniu zawodów jest inteligencja ogólna, a bardzo często budzi się ona dopiero w okresie pozaszkolnym.

Są uzdolnienia, występujące bardzo wcześnie, np. w kierunku muzyki. Mozart grał i komponował, mając za ledwie lat 7, Chopin—9, Haendel—11, Beethoven—12. Wcześniej również przejawiają się zdolności matematyczne. Z pośród 92 osobników u 35 w 10 roku życia, u 43 między 11—15, u jedenastu między 16—18, u trzech między 19—20. Zdolności literackie i do sztuk plastycznych później niż matematyczne, naukowe później niż literackie.

Ale tę ogólną, sprawdzoną tezę trudno stosować do poszczególnych przypadków. Zdolności młodocianych zanikają często w wieku pełnoletnim

lub dojrzałym, rozwijają się natomiast inne. Wprawa, ciągłość pracy, wyćwiczenie i wykształcenie w danym zawodzie mogą wywołać uzdolnienia, których nie ujawniały wyniki testów, kwestjonariuszy, obserwacji, pomiarów antropometrycznych i t. p.

Przy badaniu za pośrednictwem pytańników wprowadza w błąd często fałszywa ambicja, megalomanja lub złe zrozumienie własnych powołań odpowiadającego. Ktoś bez zdolności wyraża np. gorące pragnienie zostania malarzem, muzykiem, artystą scenicznym i wierzy w gwiazdę swoją.



Jakiś omen pędzi go na manowce, myląc drogi właściwe.

Wątpliwe jest zatem, czy badania w szkole powszechnej wynikami swemi opłacą ten wielki zachód, jaki ponosi się dla przeprowadzenia ich.

Jako jedną z wytycznych metod orientacji zawodowej wskazują uczeni eksperymentatorzy kinematograf, który przez obrazowanie różnych zawodów może naprowadzić widza — ucznia na drogę prawdziwego powołania. Przywiązują wagę również do grafologii w razie jej postępu. Co do tej ostatniej możnaby jednak zrobić zastrzeżenie, zastosowane już do testów, kwestjonariuszy i antropometrii, mianowicie, że charakter pisma zmienia się w miarę dojrzewania na równi z właściwościami fizycznymi i umysłowymi.

Stąd wniosek, że wszelkie rodzaje i sposoby badań subiektywnych, zwłaszcza w szkole powszechnej są raczej próbami, bardzo jeszcze pierwotnymi o mocno nieustalonych wynikach, aniżeli metodą, którejby można przypisać stwierdzoną już i mocno ugruntowaną doniosłość.

C. Wal

## JESZCZE JEDNA ZE SPRAW WAŻNYCH

### II

Chcąc zrobić przegląd budynków szkolnych, trzeba przeprowadzić kilka podziałów.

Przedewszystkiem inaczej przedstawiają się stosunki pod tym względem w każdej dzielnicy, a więc w Królestwie, w Małopolsce i Poznańskim, inaczej jeśli chodzi o szkoły miejskie i wiejskie, o szkoły państwowe i prywatne, o powszechne i średnie, inaczej wreszcie, gdy chodzi o męskie i żeńskie.

Ze szkół powszechnych wiejskich najlepsze budynki posiadają oczywiście szkoły w poznańskim, gorsze o wiele w Małopolsce, a już fatalne wprost w b. Królestwie. Patrząc na nie, ma się wrażenie, że ci, którzy je budowali, zrobili wszystko, aby pozbawić je słońca, powietrza, higieny, estetyki i wygody. A przecież na wsi tak łatwo byłoby o te wszystkie czynniki, konieczne dla stworzenia zdrowej, miłej i radosnej atmosfery! Przypominam sobie zachwycające szkoły wiejskie np. w Szwajcarii. Gdy wchodzi się do jakiejś wsi szwajcarskiej, w tej chwili można widzieć, który z pośród innych, pięknych zresztą domów jest właśnie budynkiem szkolnym. Zajmuje on prawie zawsze miejsce najbardziej wyniosłe, posiada rozległy widok na najpiękniejszą okolicę, okna szerokie i wysokie, ściany lśniące białości, piękny ogród i ogrodzenie. Czy

nasze gminy wiejskie nie stać na podobne urządzenia? Sądzę, że różnica kosztów w gruncie rzeczy nie okazałaby się zbyt wielką, chodzi raczej o to, aby w danej chwili znalazł się ktoś, ktoby, posiadając zrozumienie dla tej sprawy, wywarł odpowiedni wpływ na plan szkoły i na budowę.

O wiele lepiej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o szkoły powszechne miejskie. Nie mówiąc o szkołach poznańskich, ale i w małopolskich miastach, zwłaszcza w miastach większych jest już dużo szkół powszechnych zarówno męskich jak i żeńskich, które posiadają, piękne budynki. Szkoda tylko, że i tu stosunki higieniczne pozostawiają jeszcze wiele do życzenia, szkoda, że ciągle jeszcze brak dostatecznej ilości sal szkolnych i szkoda wreszcie, że przeważnie szkoły te stoją na ulicach wązkich, wśród innych kamienic, że nie mają ogrodów, rozległego widoku, a tem samem dostatecznej ilości słońca i światła. Należałoby w przyszłości dążyć do tego, aby o ile możliwości, o ile rozległość miasta na to pozwoli, umieszczać szkoły na peryferjach wśród pięknej przyrody i dobrego powietrza. Co się tyczy b. Królestwa, to i pod tym względem stosunki gorzej się przedstawiają.

Przechodząc do szkół średnich, trzeba zaraz na wstępie zaznaczyć, że zupełnie osobnego traktowania wymagają szkoły męskie i żeńskie. Szkoły średnie męskie wszędzie prawie posia-

dają budynki własne. W Małopolsce i Poznańskim są to prawie wyłącznie budynki odziedziczone po dawnych szkołach średnich rządów zaborczych, w b. Królestwie zaś obok budynków państwowych jest cały szereg prywatnych, będących własnością rozmaitych zrzeszeń i grup społecznych.

Cokolwiekby się o tych budynkach dało powiedzieć, jakiekolwiek wytknąć im wady i braki, mają one przynajmniej tę jedną wielką zaletę, że są to budynki własne, wystawione kiedyś z myślą i przeznaczeniem dla szkoły! Rozumie się, że w wielu z nich są jeszcze urządzenia przestarzałe, że możnaby łatwo niejedno zmienić zarówno pod względem higienicznym, jak i estetycznym, a zwłaszcza zapobiec przepełnieniu, na które wiele z nich cierpi. Ale wszystkie usterki i niedomagania są niczem w porównaniu z katastrofalnym wprost stanem szkół żeńskich. I tu docieram właśnie do największej „bolączki“ naszych stosunków pod tym względem.

Tak jak szkoły średnie męskie prawie wyłącznie posiadają budynki własne, tak naodwrot szkoły średnie żeńskie prawie bez wyjątku wszędzie mieszczą się w lokalach wynajętych, w t. zw. kamienicach czynszowych, budowanych wszakże kiedyś na mieszkania prywatne.

Któż z nas nie zna tych brudnych kamienic, tych stromych, karkołomnych schodów, tych ciemnych,

wązkich korytarzy, tych małych, dusznych, przepelnionych klas z bezdziałnym widokiem na ściany przeciwnych kamien lub oficyn?! Czyż w tych warunkach choćby marzenie o salach gimnastycznych, rekreacyjnych, o pracowniach przyrodniczych, a nawet o skromnej szatni, nie będzie niezdrową fantazją obłąkanego umysłu?!

I pomyśleć, że cała nasza młodzież żeńska szkół średnich, kilkadziesiąt tysięcy młodych dziewcząt w tych warunkach spędza większą część swojej młodości, lata największej wrażliwości fizycznej i duchowej, okres dojrzewania, wymagający szczególnej troskliwości i opieki. Czyżby matki naprawdę nie wiedziały o tem? Czyżby nie doszło do ich wiadomości, że w niektórych szkołach, gdzie odbywa się nauka dwurazowa: od 8-mej do 1-szej i od 2-giej do 7-mej w ciągu jednej godziny przerwy nie mogą klasy być

należycie wywietrzone, a wskutek tego zdarzają się omdlenia, wywołane przez zatruwające powietrze?!

A jeśli wiedzą i milczą...

Powiecie: co robić? jak złemu zaradzić? Trzeba budować szkoły dla dziewcząt!

Nie stać nas na to? Ależ, jeśli zdobyć się możemy na wspaniałe, monumentalne gmachy banków, poczt, koszar — to chyba nie stać nas na to tylko moralnie, nie stać nas na zrozumienie doniosłości tej sprawy, na odwagę żądania i czynu.



MARJA GROSSEK-KORYCKA

## Ś W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

W Paryżu nie trzymać służącej nie znaczy to samo, co nie trzymać jej w Warszawie!

U nas życie wciąż jeszcze obliczone jest na istnienie tego deus ex machina, jakim była do niedawna nasza służba. Kuchnia u nas jest to zimna landara, albo wilgotna, ciemna ciupka, cuchnąca zlewem i sienią. Ogromny komin, dostosowany do ogromnych, dawnych obiadów, do pieczenia całych ćwiartek cielęcych i baranich, do rozgrzania się potrzebujący wielkich łup drzewa i brył węgla, które trzeba rozrąbywać siekierą, a których rozpalenie to jest sztuka i próba cierpliwości. Dym najczęściej wygryza oczy, dziś zwłaszcza, gdy kominiarz przeszedł do fantastycznego świata bajek dziecińczych. A piekło, które jeszcze wnosi do tej kuchni, od czasu do czasu pranie! Nie każde płuca wytrzymują bezkarnie zaduch jego i opar.

Nie chcesz stać przy niem, inteligentko? — bardzo dobrze, to rączki, które już marzą o manicurze, jeśli nie dla siebie, to dla swej córki, i które prostej roboty — brrr!!! — nienawidzą, wysypią ci do wody tyle gryzących proszków, chloru i czy ja wiem czego jeszcze, aby śnieżne to wszystko zrobiło się w lot bez fatygi, że gałgany odbierzesz z tego, co z takim trudem kupiłaś niedawno.

Idź, idź, kochanko do kuchni — ty co masz jeszcze świeżo w głowie „Gnoseologiczny argument przeciwko materializmowi“.

Co rana, w naszym klimacie zimnym i wilgotnym bez mała przez rok cały, biec trzeba z koszem na rękę,

do hali, i trzecie, czwarte piętro przemierzyć cztery pięć razy dziennie nogami, z ciężarem sprawunków w ręku!

Do niedawna to wszystko robiło się samo — czyli robiła służąca. Nie tylko w wyższych sferach społeczeństwa, ale w klasie średniej, u ludzi o bardzo skromnych funduszach, żona jakiegoś podrzędnego urzędnika, niższego oficera mogła zrzucić z siebie całą przynajmniej robotę ciężką i grubą na kobietę z ludu, która szła do służby. Na inteligentkę spadała wtedy rola ekonomka. Było to jeszcze niedopozadzroszczenia stanowisko brytana na łańcuchu, którego obowiązkiem jest warczeć. Nie rusz się krokiem, nie spuszczaaj oka, znaj na pamięć wszystkie wybiegi, aby im szyki pokrzyżować. Bo inaczej pójdzie na cztery wiatry ciężka praca męża. Wydatki będą wielkie, dobrobyt kiepski, narażona na szwank rodzina. Wyrabiała to w kobiecie swarliwą duszę ekonomiczną, nastrój trudno godzący się z marzeniami poetów, z planami filozofów, od których oderwało ją małżeństwo. Zmuszona ciągle liczyć krupy, obnosić, jak monstrancję, garnki i talerze, przystosowywać się do drobiazgowości swego świata, umysł jej dostawał kalektwa drobnowidztwa. Tracił zdolność akomodowania się, widzenia wszystkiego w należytych ustosunkowaniu perspektywy. Rzeczy drobne zasłoniły mu rzeczy wielkie — po kilku latach kręcenia się w tym światku lilipucim stawał się do niczego więcej nie zdatnym, a przynajmniej stępiącym. Kobieta skazywała się na to okropne poświęcenie degradujące z rezygnacją świadomą przez miłość dla swoich.

Co mówią o tem władze sanitarne? Dlaczego nie zabierze głosu w tej sprawie dość duży zastęp naszych lekarzy szkolnych.

Gdy chodziło o „konieczności wojenne“, nikt nie wahał się rekwirować budynków szkolnych na potrzeby wojskowe. A czyż tak poważne konieczności pokojowe nie znajdują równego traktowania?

Znakomity pedagog amerykański John Dewey powiada (w książeczce p. t. „Szkoła a społeczeństwo“): „Największą stratą jest marnowanie życia ludzkiego, zwłaszcza życia dzieci podczas ich pobytu w szkole“.

Zapamiętajmy sobie tę prostą a tak głęboką prawdę i wyciągnijmy z tego konieczne konsekwencje.

K. S.

Do męczenników się modlą — dusza ekonomiczna staje się przedmiotem lekceważenia i wyśmiewania dla tych, dla których poświęcała swoją godność ludzką... Któż zgłębi przepaść tego samozaparcia?...

Ale ten stan rzeczy należy już do przeszłości. Kobieta z ludu, stawszy się dziś panią położenia, nie pozwala na żaden nad sobą nadzór, kontrolę, ani monit. Lwią część tego, co na życie rodziny przypada, zabiera sobie z tupetem, który zamyka usta protestowi tem bardziej, że grzeczność, wycofana dziś ze wszystkich stosunków ludzkich, „wersalska“ grzeczność zawsze jeszcze obowiązuje inteligentkę względem jej służącej.

(Ale nie vice versa!...)

Rola ekonomiczna skończona — pani, która dziś pójdzie ze służącą do hali, zostanie wydrwiona, wyszykanowana, nieomal zelżona przez straganiarzy i straganiarki, nie znoszące przed swoim dostojnym obliczem inteligencji. Za karę zaś, że ośmieliła się kontrolować służącą i aby jej się tego odechciało raz na zawsze, zapłaci cztery razy drożej, niż jej służąca liczy.

Służąca stała się wskutek tego zbyt kosztownym, że coraz mniej jest rodzin, któreby mogły pozwolić sobie na ten luksus.

Ale i to, co jest dzisiaj, wydawać się będzie rajem w porównaniu z tem, co zapowiada się w blizkiej przyszłości.

Co zrobimy, gdy cała literalnie fizyczna praca, jakiej dom wymaga, bez żadnego już wyręczenia zwali się na nasze plecy? — gdy amerykanizacja zabierze do przemysłu wszystkie kobiety z ludu...

To będzie wkrótce... a życie nic, a nic do tego przygotowane nie jest i przystosowywać się ani myśli! Byłyśmy ogromnie dumne z wyższości naszej intelektualnej nad kobietą zachodnią. Ale bo my byłyśmy obsłużone, jak damy — a w takiej Szwajcarii np. taka Frau Doktor, Frau Profesor zdawien dawna szorowała schody, aż się jej głowa trzęsała!...

Wkrótce, u nas będzie to samo. Pójdziemy szorować schody!

Bierzmy się więc ostro do zorganizowania nowego trybu życia — szukajmy co prędzej pomocy w maszynie i w organizacji.

Uczyńmy to pierwej, nim nas opuści służąca. Byłoby najlepiej, gdybyśmy się jej pozbywały zwolna, nie czekając, aż przyjdzie raptowny kryzys.

Sfery rzemieślnicze są przeważnie nastrojone narodowo i religijnie — ale służba, kobiety zwłaszcza, zarazem są bolszewizmem. One nie tylko źle służą, marnują wszystko i przywłaszczają sobie, co tylko się uda — one wnoszą nam do domu pierwiastek

szkodliwy: nieprześląganą, nieprzejednaną nienawiść...

Tam, gdzie widzą blask bogactwa, przywdziewają maskę poddańczości — ale w domu prawdziwej, „pracującej inteligencji“ nie uznają za stosowne się ukrywać. Można by powiedzieć, że dobroć i życzliwość rozdrażnia jeszcze, a w każdym razie uzuchwala, w żadnym zaś wypadku nienawiści tej nie gasi.

W takich okolicznościach najlepiej się rozejść. Czas pożegnać dawne uprzedzenia — do pracy domowej niechaj się wezmą kobiety z inteligencji te, które, posiadając oświatę i kulturę, wykształcenia z braku środków, zdolności, lub zamiłowania, nie dociągnęły do tej skali, która pozwala umysłem pracować. Kobiety te, bardzo często natury ogromnie niewieście, przystosowane usposobieniem i zamiłowaniem do zajęć domowych, byłyby nieoszacowanym skarbem dla intelektualistek, lub wogóle kobiet pracujących za domem. Tylko kobiecie z oświatą i kulturą można powierzyć w ręce swoje mienie i swoje żywe skarby i mieć głowę do pracy wolną.

Zastrzegam się, że pomocnice, jakie mam na myśli, nie powinny w niczem przypominać dotychczasowych „panien do zarządu domem“ i „do wyręczenia pani domu“. Były to rezydentki kosztowne, same potrzebujące obsługi, które u dawały, że coś robią, ograniczając swoje obowiązki do obmiecienia kurzów plumażem i ustawienia talerzyków do śniadania. Wzorem nowego typu „wyręczycielki“ musi być niemiecka „Hausfraustütze“ która sama sprząta, gotuje i pierze (albo nawspół z panią domu).

Nie wchodzić w rozprawy roznamiętniające i nie prowadzące do niczego: po czyjej stronie wina — a raczej po czyjej stronie większa wina — rozejdźmy się z kobietą z ludu, pracujemy w domu same. Chociażby dlatego, aby nam ta kobieta z ludu przestała zarzucać „próżniactwo“ i żeby miała z nas dobry przykład, ona, którąśmy zdemoralizowały naszym do manji posunięciem zamiłowaniem strojów, i wydawaniem na nie pieniędzy nad stan.

(c. d. n.)

5) ]

# D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

A Gołobow pojechał tymczasem ku Olszance. Miał na twarzy wyraz zimnej zawziętości. W głębinach mózgu, niby nieświadoma, a przecież wyraźna tłukła się myśl: zapomnę! Gołobow udawał przed samym sobą, że o tej myśli nie wiedział i, gdy byli zeledwie o staję od dworu, zawrócił nagle, jakby sobie coś przypomniałszy i skinął na kozaka.

— Jedź z powrotem! Powiedz Kostience, że ja przestać każe.

Gdy kozak dojechał do miasteczka, trup Kowalskiego krwawy leżał w stajni, nakryty derą. Żołnierze pijani śpiewali przed stajnią.

Gołobow dochodził w tym czasie szczytu popularności wśród szlachty podległego mu „uczastka“.

Zakres rządów jego był niewielki, ale w małym środowisku tem miał on władzę nieograniczoną i upiwszy się nią ten despotę maleńkiej satrapii, deptał po ludziach, kopał. Kopnięcia z miłym przyjmowano uśmiechem.

„Naczalnik“ mógł ocalić, ale i zgubić mógł łatwiej jeszcze. To wystarczyło, by przed młokosem korzyli się ludzie dojrzały, starcy, powagi powiatu, by najpiękniejszych ust kobiecych wabne uśmiechy ku niemu się zwracały. Z otwartymi rękoma przyjmowano go wszędzie. Wyjątek stanowiła

Olszanka Malczewskich. Tam dom był w żałobie. Zamknięte w nim dwie osamotnione kobiety nie utrzymywały żadnych stosunków z otaczającym je światem. Coprawda świat ten unikał ich najtrwoźliwiej, jako dotkniętych karą rządu, noszących na sobie groźne piętno potępienia carskiego.

Naręczony Marji Malczewskiej, Władysław Szemiot, jeden z tych zapaleńców natchnionych, co krwawe gody zgotowali krajowi, miłośnik ludu, przez chłopca z Olszanki wydany w ręce oprawców, śmiercią męczeńską żywot młodzieńczy zakończył.

Malczewski młody, druh jego i brat emigrował był pod koniec powstania.

Odtąd nie słyszano we dworze śmiechu, śpiewu, ni muzyki. Starsza pani, zatopiona w modlitwach, chora nie wychodziła ze swego pokoju. Panna Marja, zestarzała przedwcześnie, z twarzą kamienną i obojętną na wszystko, oddawała konieczne usługi matce i trudniła się gospodarstwem. W duszy jej wytworzyło się tyle goryczy, nienawiści i pogardy, że zafruta ich jadem, nie umiała już kochać, przebaczyć, wierzyć.

Brat, tam na obczyźnie stęskniony, rwący się do kraju, w którym groziło mu niebezpieczeństwo haniębnego zgonu, on jeden wiązał ją z życiem.

Uwłaszczenie przeszło w Olszance jakoś prędko i gładko, choć wła-

ścicielki nie podjęły o to żadnych starań.

Coprawda zaledwo kilku gospodarzy pańszczyźnianych liczyła Olszanka i ci nie stawiali wymagań nadmiernych. Może pod wpływem dawnych tradycji, silniejszych tym razem od podjudzeń zgrai czynowniczej: „Panienska“ dała podobno więcej, niż się należało według prawa i pokój zapadł między chatami a dworem. Ale stosunek dawny nie wrócił. Panna Malczewska nie zachodziła już do chat, i włościanie nie zgłaszali się już po pomoc i radę do dworu, jakby czuli, że tam zapomnieć i przebaczyć nie mogą, że oczy „panienki“, co na śmierć ukochanego człowieka patrzyły, chłopskiej sukmany nie powitają już nigdy spojrzeniem życzliwym. I istotnie, choć denuncjat, sam, niezadługo żywota marnie dokonał, jej ciężko byłoby przejść koło jego progu i znużoną śmiertelnie duszą ponad mękę wspomnień się wznieść.

I tak stała się Olszanka grobowcem, którego ciszę przerywał czasem tętent konnicy kozackiej. Raz po raz ukazywała się na gościńcu chmura pyłu, kozactwo otaczało dom dokoła i zaczynało się wkraczanie do wszystkich pokojów, przetrząsanie skrytek, piwnic, poddaszy. Gołobow odbywał te częste rewizje, wypatrując wciąż powrotu młodego Malczewskiego, a może wprost dla dokuczenia smutnym,

samotnym kobietom. Ale i do tych odwiedzin przyzwyczajono się w końcu i przyjmowano je, na pozór przyjemniej, z zimną obojętnością.

Gniewało to porucznika. Czuli się nawet obrażonym w swojej próżności petersburskiego eleganta. Ta panna zdawała się nie dostrzegać go wcale! Wzrok jej zdawał się ślizgać po nim zimny, jak stal i zagadkowy. Za karę, w kółku oficerskiem bawiono się wesole jej kosztem.

A dokoła życie towarzyskie wrzało.

Krzyczała wprawdzie szlachta w głos, że uwłaszczenie stanowi całemu grozi ruiną, i tak było w istocie, ale dla zjednania sobie panów życia i mienia szlacheckiego, wyprawiano sute bankiety, bale, kazano stroić się i uśmiechać córkom, żonom!..

Rzucił ktoś myśl, żeby urządzić bankiet dla Gołobowa w dniu jego imienin. Przyjęto ją jednomyślnie.

— Należy mu się to! A należy!.. — powtarzono z uznaniem.

— Trzeba ujmować go sobie! To trudno! — mówili z cicha ci, co jeszcze odczuwali potrzebę tłumaczenia się z aktów takich, choćby przed własnym sumieniem.

O historii z kowalem przebakiwano wprawdzie coś nie coś, ale nikt nie wiedział nic pewnego. Wersja wydawała się wprost nieprawdopodobną. Ostatecznie złożono wszystko na niechęć, którą każda sprężysta władza budzić musi.

I odbyła się projektowana uczta. Najstarszy wiekiem z obywateli okolicznych, uczestnik niegdyś rewolucji 31 roku dziękował naczelnikowi „uczastka“ za opiekę, życzliwość, radę dobrą w trudnych okolicznościach.

— Nie urzędnika cenimy w panu, ale człowieka — zakończył — i człowiekowi mówimy starodawne nasze: Bóg zapłać!

Wzruszył się starzec. Łza zabłysła mu w oku.

Gołobow odpowiedział toastem za jaknajprędsze „uspokoienie tego kraju i zlanie go zupełne z wielką ojczyzną rosyjską“

Nikomiu nie pękło szkło przy tym wiwacie... nie wyszedł nikt z biesiadników... nawet podobno twarz niczyja nie nabiegła krwią!..

Widocznie kraj był już w znacznym stopniu „uspokojony“.

#### ROZDZIAŁ IV

## DZIECKO

## POWSTAŃCA

Minęło lat kilka.

Stosunek Sokołowskiej z Gołobowem, który po zniesieniu stanu wojennego przeszedł na wysokie stanowisko w administracji cywilnej, rozsnął się cicho, bez skandalu i pretensji wzajemnych. Jakoś przedtem jeszcze pani Ewelina zaczęła chorować. Dwa razy wyjeżdżała do wód zagranicznych, potem postępująca wciąż

ruina Gostkowa na wycieczki takie nie pozwałała.

Sokołowscy bliscy byli bankrutami i nie stanowili w okolicy swojej żadnego pod tym względem wyjątku.

Szlachta, oszukana na listach likwidacyjnych, które rząd płacił za wywłaszczoną ziemię, a które posiadały tylko połowę nominalnej wartości, nie była w stanie wylizać się z ran, zadanych jej przez powstanie i proces uwłaszczeniowy.

To też tętno życia, w pierwszych chwilach po klęsce jeszcze silne, nawet gorączkowe, jęło słabnąć stopniowo. Nastąpiła prostracja; organizm wyczerpany zapadał w niemoc.

Z rokiem każdym coraz bardziej cichło po dworach. Skołatane głowy chyliły się ku ziemi; troska, towarzysząca nieodstępna ryła stygmaty swoje na licach. Brykami, w „biedkach“, na piechotę dążyli starozakonni lichwiarze na codzienne konferencje do dworów, snując po drodze mądre plany pajęczych obmotań... Fortuny szlacheckie szły do dna, jak splekane okręty.

Oplakany stan majątku niewyrwał pani Eweliny z chorobliwej apatii, nie pchnął jej do pracy, wpływał tylko na coraz silniejsze skwaszenie jej humoru i powiększał rozstrój nerwów.

Jakoś w okresie największego jej przygnębienia i pojawiania się coraz to nowych chorobliwych objawów, przyjechał do Gostkowa jeden z dalszych sąsiadów, a powinowaty p. Sokołowskiej p. O.

Był to ten sam, który kilku ostatnich powstańców, szukających u niego schronienia, kazał być związać służbie swojej i wydał w ręce moskali.

Teraz przybywał do Gostkowa w dziwnej, jak na niego, roli.

Chodziło o opiekę nad dzieckiem wyklinanego przezeń siostrzeńca, powstańca, emigranta, Juljusza Malczewskiego.

— Cóż się z nim stało, panie Stanisławie — pytała Sokołowska — pamiętam wieczorem 21 stycznia przechodzili tedy on i Szemiót na czele kilkunastu chłopów. Ostatni raz wtedy ich widziałam. A i tę pieśń ich pamiętam... Mój Boże!... Cóż więc?

— A suchoty zjadły gdzieś za granicą w Monachjum, czy Norymbdze! Ale jest dziewczyna...

— Więc ożenił się?

— A jakże! I z taką samą jak on, warjatką, a która tam między nimi uchodziła za bardzo mądrą. Bo to przecież wszystko mądrymi byli ludzie!..

— I ona umarła?

— A umarła właśnie, ledwo odchowawszy dziecko. I oto, wyobraź sobie pani, spada na mnie kłopot taki! Cóż ja za opiekę w kawalerskim domu moim dać mogę tej małej?! A znów tak odrzucić, obowiązek rodzinny nie pozwala. Jestem, jak pani wie, za pełnieniem obowiązków, choćby najcięższych. A doprawdy niewiele dobrego spodziewać się można po dziecku takich rodziców!..

Mówiąc to, pan Stanisław po bożnie wznosił oczy ku górze...

Był to jeden z tych, którzy motywów swej uległości względem rządu szukali w Dziesięciorgu Przykazań i w Ewangelji. Konserwatysta! Religijant! Kapelana swego zamęczał na bożeństwach.

— Czyż to dziecko nie ma już nikogo z najbliższej rodziny?

— Tak, jakby nie miało! Żyje jeszcze siostra Juljusza. Po śmierci matki sprzedała Olszanekę, wyjechała za granicę, i podobno sfiksowała już ostatecznie. Zamknięto ją, czy zamknęła się sama w jakimś klasztorze pod Rzymem...

Sokołowska zapadła w głęboką zadumę...

Jakby czarem na ekran rzucony, ujrzała w tej chwili cały przebieg stosunku swego z Gołobowem. Obraz ten klócił się ze wspomnieniami, wywołanymi rozmową. Jakaś gorączka myśli, fizycznie prawie odczuwana...

— Niechże pan mi przyśle tę dziewczynkę! — rzekła po chwili. — A może ja ją wychowam tak, jakby pragnął jej ojciec... — dorzuciła z niepewnym uśmiechem.

Pan O. całował rączki, dziękował, obiecywał łożyć na kosztę wychowania sieroty. Z całym spokojem powierzał jej córkę powstańca...

...Ciemną nocą do domów wpadniemy, gdzie spokojni cichemi śnią snami!..

na tych słowach gasła w ową czarną noc zimową, marła bez echa straszna pieśń powstańca. Z nią ginęli w pomroce wieczoru zaprzysiężeni na śmierć synowie ojczyzny...

I prześniła Sokołowska noc całą o tych ludziach dziwnych, o tych dziwnych dniach, których entuzjazmy udzieliły się wówczas na chwilę nawet jej małemu, biednemu sercu.

W parę tygodni później gospodyni pana O. przywiozła do Gostkowa małą Wandzię Malczewską. Dziewczynka miała piąty rok życia; szczupła, wątła, dość ładna, wydała się Sokołowskiej smutna i dzika. Taką też była istotnie. Rozumne jej oczęta patrzyły dokoła z nieufnością i dumą. Miała w sobie coś z pisklęcia ptaków drapieżnych, co z podchmurnego gniazda wydarte, wciąż strzepi pióra do walki.

Sokołowska, choć przedtem usposobiona jaknajżyczliwiej, uczuła na widok tego dziecka jakąś do niego niechęć.

— Ona ma wzrok dorosłego człowieka — powiedziała — i od tej chwili rodzaj przesądnej obawy wkradł się jej do duszy. Bywają dzieci, których lękają się ludzie dorośli. Usiłowała, pomimo to, zając się Wandeczką; zaznajomiła ją ze swymi dziećmi, kazała jej nazywać siebie matką, ale mała nie usłuchała.

— Pani nie jest moją mamą! — powiedziała zimno i stanowczo.



4)

## O EDWARDZIE ABRAMOWSKIM

Natomiast urzeczywistnienie tych swoich ideałów społecznych Abramowski widzi w dobrowolnych zrzeszeniach — które skupiają ludzi dla zaspakajania takich, lub innych, ale zawsze rzeczywistych potrzeb: wspólnych im potrzeb:

Życie wspólczesne jest widownią niezmiernego rozwoju takich dobrowolnych zrzeszeń. Świadczą one wszystkie o tem, że samopomoc społeczna może brać najróżniejsze dziedziny życia w swoje ręce i prowadzić je bez pomocy i kontroli państwa — stwierdzają, że państwo nie jest już dziś niezbędne zawsze i we wszystkich szczegółach życia.

Niezależnie od doktryn życie idzie w kierunku zmniejszania zakresu działalności państwa, na rzecz zorganizowanej dobrowolnej działalności społeczeństwa.

Trafny instynkt życiowy sprawia, że wszystkie te próby są wszędzie witalne z niezmierną radością, napawają każdego poczuciem siły i podpowiedzialności, oraz miwowloną otuchą do życia i wiarą w człowieka, którą nadmierny rozrost państwa zawsze obniża. Jednocześnie wszystkie zjawiska tworzenia dobrowolnych zrzeszeń świadczą o tem, że w społeczeństwach istnieje oczywista, twórcza siła, która jest w stanie ludzi zespałać mocniejszym kitem, niż państwo, skoro trzyma się on bez nakazów i policyjnej kontroli.

Siłą tą jest solidarność — uczucie jaknajbardziej właściwe gatunkowi ludzkiemu, aczkolwiek tak bardzo zdeptane w obecnym życiu świata.

Uczucie zdrowe i sprawne, opowiadające naszym sercom głęboką, intuicyjną prawdę o naszej tożsamości z innymi ludźmi. Solidarność w pojęciu Abramowskiego jest czemś o wiele bardziej konkretnym i prawdziwym niż walka klas, ten sztuczny wytwór ustrojów państwowych, otaczających opieką jedne klasy przeciwko drugim.

\* \* \*

Śród dobrowolnych zrzeszeń, dających do polepszenia bytu mas, zrzeszenia spóżywców są według Abramowskiego temi, które bezpośrednio wiedą do urzeczywistnienia i tego typu ludzkiego i tego ideału życia społecznego, jaki on w swych dziełach narysował.

W samej rzeczy współdzielczość w osobliwy sposób pasuje do wszystkich jego myśli:

Nie jest ona odległym dogmatem rewolucji socjalnej, lecz jest jakby codziennym dniem tej rewolucji, jest tu, pomiędzy nami, pozwala nam tworzyć nowe życie niemal o każdej chwili.

Nie jest oparta na wyrozumowanej teorii, tylko na rzeczywistych potrzebach swych członków.

Spółdzielczość tak samo jak idea Abramowskiego pełna jest pozornych sprzeczności, w których właśnie znajduje rozwiązanie zagadek życia społecznego.

Czyż nie jest pozorną sprzecznością, że im więcej kupujemy w stowarzyszeniu spóżywców, tem więcej na tem oszczędzamy?

Czyż nie jest pozorną sprzecznością to, że robotnik, pracujący w fabryce, należącej do kooperatywy, może być jednocześnie najemnikiem i swoim własnym przedsiębiorcą?

Czyż nie jest pozorną sprzecznością to, że członkowie, kupujący w stowarzyszeniu, są jednocześnie swoimi własnymi sprzedawcami?

Wszystkie te sprzeczności świadczą, że kooperacja jest zjawiskiem głęboko życiowym, intuicyjnym — rozsądnym, a nie wyrozumowanym.

A nareszcie czy kooperacja nie przywiera szczerze do idei Abramowskiego o tożsamości ludzi w zbiorowości?

Czy spółdzielnia nie jest właśnie tą instytucją, w której każdy z nas w swoich braciach poznaje siebie?

Pilnując swojego interesu, popieramy tem interesy wszystkich — Miłość bliźniego i miłość siebie zostają sprowadzone do swej naturalnej jedności, a to jest to, do czego dąży właśnie przyszłość.

Spółdzielczość została zorganizowana na wzór państwowości demokratycznej. Lecz wzięwszy od ustroju państwowego, tak samo, jak od ustroju kapitalistycznego, to co w nim było dobrego, nie przejęła żadnej z jego złych stron.

Łącząc i organizując ludzi dla opanowania życia zbiorowego nie na drodze przymusu, ale na drodze dobrej woli i życiowego interesu — czyni ona człowieka bardziej przedsiębiorczym, bardziej twórczym, bardziej odpowiedzialnym, samodzielniejszym i bogatszym duchowo.

Jednym słowem z biernego pionka zbiorowości — przekształca każdego na wolnego twórcę życia.

\* \* \*

Lecz czy spółdzielczość w najdalszym swym rozwoju może nam zastąpić państwo w zupełności?

Abramowski, który tak gorąco zwalczał doktrynerstwo, nie mógł sam stać się doktrynerem absolutnej niepotrzebności państwa.

To zagadnienie, czy państwo w przyszłości zniknie, czy też pozostanie w jakiejś formie, przystosowanej do nowych warunków, nie obchodziło Abramowskiego, jako zagadnienie czysto teoretyczne. Uważał za możliwe, że pewna ograniczona forma państwa będzie konieczna w najdalszej przyszłości. — Że będzie to zapewne

państwo, zredukowane na rzecz rozwinętego życia spółdzielczego, do granic „jaki mu konieczność dziejowa danej epoki wyznaczy”. W swoim programie Rzeczypospolitej Spółdzielczej Abramowski nawet określa te przypuszczalne granice, jako ochronę niepodległości kraju i bezpieczeństwa publicznego nawewnątrz.

Początkowa, bardzo bezwarunkowo antypaństwowa tendencja Abramowskiego złagodniała też następnie nieco, znowu pod wpływem studjów psychologicznych, kiedy mianowicie doszedł do przekonania, że w każdym zjawisku istnieje coś z Istoty Rzeczy, z substancji tworzącej świat. Dzięki temu fragmenty jednych ustrojów przechodzą w następne — niby nieśmiertelne mosty zgody między przeszłością i przyszłością. Dzięki temu w każdym ustroju, w każdym ugrupowaniu jest miejsce, od którego można zacząć budowanie przyszłości.

Abramowski z entuzjazmem oczekiwał nadejścia państwa polskiego, którego niestety nie doczekał. Wyobrażał je sobie właśnie jako organizację giętką, zdolną do przekształceń zgodnie z potrzebami życia i zdolną do pozostawiania coraz większego miejsca na rozwój życia społecznego. Wierzył mocno, że społeczeństwo natychmiast miejsce to wypełni twórczymi organizacjami.

\* \* \*

W barwie, w tonie, w całej swoistości idei społecznej Abramowskiego wyczuwa się to, co on uważał za nieodłączną cechę wszystkich istotnych zjawisk życia — wyczuwa się pewną pozorną sprzeczność.

Jest w niej wielka czystość moralna i jakaś nieodparta pewność prawdy, a jednocześnie nadzwyczajna podatność do przystosowania się, do odnajdywania się w najrozmaitszych ugrupowaniach, wśród ludzi najróżniejszych przekonań.

Ta właściwość nadaje myśli Abramowskiego podobieństwo do żywiołowych zjawisk natury — jest jej niewyczerpanym urokiem i zarazem siłą.

Dzięki temu też Abramowski sam jeden może trafić ze swą propagandą najwznioślejszych, a zarazem najrewolucyjniejszych idei sprawiedliwości społecznej, braterstwa ludzi, wolności i swobody, do umysłów najbardziej zacofanych i zaskorupiałych w ciasnocie pojęć, których żadne rozumowanie, obracające się w świecie abstrakcyj, nie poruszy. Ten poufny związek z życiem, jakim tchnie każda jego myśl, będzie „oblekał w nowego człowieka” ludzi z narozmaitszych sfer i ugrupowań — tak, jak to było za jego życia — gdy stykali się z nim ludzie obdarzeni wrażliwym sumieniem z przeróżnych obozów, z lewa i z prawa.

(c. d. n.).

M. Dąbrowska.

8)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

## MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

Po robocie pozwalano im przebywać na dziedzińcu, otoczonym, jak zwykle, masztowym ostrokołem. Pod to ogrodzenie przychodziły wieczorem panie i przez szparę, do której kolejno podchodzili więźniowie, toczyły się długie rozmowy. Była to ośłoda i radość całego dnia. Księżna Trubecka, nieco otyła „kulka z kości słoniowej”, męczyła się długim staniem, więc przynosiła ze sobą krzesło składane. Raz zdarzyło się, że wartownik rozzłościł się na te rozmowy i uderzył pięścią w plecy Katię Trubecką. Ale Wołkońska ujęła się za nią tak energicznie, że komendant musiał ukarać brutalą i — dając się wprawdzie — przez palce patrzył na te „godziny przyjęć” przy ostrokołe. Książę Odojewski („miły Sasza” którego śmierć na Kaukazie opłacze później Lermontow najcudniejszą elegją.) wiersze pisał w owych rozmowach, wielbiąc dobroczynne, a niewidzialne prawie: „opiekunki utrapionych”, które liतोściwy Bóg zesłał jak anioły pocieszenia „we wschodni kraj: siedlisko łez i bólu — posepny kraj...”

„I codzień tam siadały u zagrody  
Sącząc wskróś szpar, kropelka po kropelce  
Pociechy miód z niebiańskich swoich warg.  
Odtąd płynęły cicho dni i lata.

Usnęły w sercach więźniów ból i żal.  
I tylko jedna dręczyła ich trwoga:  
By te anioły, ziemskich zbywszy szal,  
Nie uleciały z powrotem w niebiosa“.

Powoli zwiększała się gromadka dzielnych kobiet. Z Aleksandrową Murawiewową mieszkała już p. Naryszkinowa, w domu, malowniczo położonym na górcie, pod którą płynęła rzeka i skąd piękny otwierał się widok na góry Ałtajskie. Tamże na wysokim pięterku wynajęły sobie pokój obie księżne i zaprosiły do siebie pułkownikową Jentalcewową. Wnet przyjechały: p. Fon Wizenowa i wujenka Wołkońskiej: Dawidowowa, która przywiozła ze sobą wierną służącą księżnej, aż do śmierci nierozłączną odtąd jej towarzyszkę: Maszę Malniewą. Dobra dziewczyna uprosiła generałostwa Rajewskich, aby ją wysłali. Niespodziewany był przyjazd młodej Francuski: panny de St. Paul, która, zakochana w Annenkowie, otrzymała od cesarza pozwolenie, aby podzielić los zesłańca.

Oryginalny był ślub tej młodej pary — pod strażą bagnetów.

Panu młodemu zdjęto na chwilę kajdany „bo do sakramentu przystępuje się bez oków”, ale drużbowie dzwoniли łańcuchami.

Mimo tych ponurych akcesorjów, panna młoda śmiała się i żartowała, ukrywając pod pozorami lekkomyślno-

ści głęboką i mężną miłość. Wszystkie kobiety przedziwnie żyły się ze sobą, dzieliły się wszystkim, tak samo jak i więźniowie, którymi się opiekowały.

Najbogatsza była Aleksandra Murawiewowa, której teściowa ukradkiem przesyłała duże sumy pieniężne. Dzięki temu „nigdy chorym nie brakło wina ani kaszki”, założono nawet szpitalik, w którym leczył zesłańiec: dr. Wolf, i apteczkę.

Trudno jednak wyobrazić sobie, nawet znając najcięższe warunki bytowania późniejszych wygnańców, z jakimi trudnościami przychodzi to walczyć w życiu codziennym. Oto parę przykładów: nie było można dostać nigdzie nici — szły się tam kiszki rybiemi, albo chińskim jedwabiem, o który także było trudno. Raz zepsutego zegarka nie było gdzie naprawić. Chcąc otrzymać jaki przedmiot z Petersburga, trzeba było czekać w nieskończoność. Zanim przyszło lekarstwo, chory wyzdrowiał, albo umarł. Sergjuszowi Wołkońskiemu który bardzo osłabł w robotach, lekarz zapisał kieliszek wina dziennie. „Naczalstwo” pozwoliło, ks. Marja prosi teściową o przysłanie kilku flaszek — przychodzą rozbite, a zanim druga przesyłka dojdzie, mija rok. Tak samo wlecz się korespondencja o naczynia, gdyż w glinianych garnuszkach stygnie jedzenie, które księżna nosi do więzienia, a gdy się chce zagrzać, pęka. Trzy lata prawie czeka na ten drobiazg. Jak dawniej, tak i teraz mało pomocy, mało serca doznaje pani Marja od swoich najbliższych. Prócz ojca, którego listy rzadkie wprawdzie i krótkie, ale poważne i serdeczne, dają jej czasem chwilę radości, reszta rodziny dziwnie się zachowuje. Miał rację ponoć Puszkina, pisząc o Tatjanie, że wśród swoich zdawała się zawsze być „dzieweczką cudzą”. Matka potrafi tej biednej, marznącej w sybirskich śniegach córce robić — na odległość sześciu tysięcy wiorst — sceny. O mężu milczą zupełnie, albo wyrażają się pogardliwie. Księżna prosi raz z okazji ślubu znajomej, aby pannie młodej podarował bransoletkę, zostawioną przez nią w domu. Generałowa Rajewska odpisuje: „I owszem! i tak niktby z nas nie chciał nosić rzeczy, podarowanej przez twego męża!” Siostry piszą banalne frazesy jak np. „Miło nam, że zdrowie twoje poprawiło się tak, że przenosisz bez szwanku ciężkie zimy sybirskie”. (Trzeba dodać, że całą korespondencja toczy się po francusku z użyciem ceremonjalnego: wy.)

Ileż wobec tego trzeba było mieć wewnętrznego bogactwa i ciepła, aby z własnej swojej duszy, z własnych

zasobów znachodzić skarby dla obdarowywania i pocieszenia drugich.

Tragiczny los wygnanek budził współczucie w dalekim świecie. Poeta francuski staje przed niemi z podziwem:

—Wszak była księżną, a dziś czem jest ona?  
O imię pytać jej: trud byłby marny!  
Skreślono te, co miała wprzód, imiona,  
Kobietą tylko jest i je chleb czarny,  
Gorzki sybirski chleb, obłany łzami,  
Jaki zarabia pracą rąk swych mąż — i blada  
Wpóśród górników niewolniczych siada,  
Zwiędła przed czasem..

(Alfred de Vigny: Wanda)

Na szczęście księżna i jej towarzyszkami nie były podobne do owej łzawej, tragicznej marvy, jawiącej się autorowi Eloa, a która byłaby dla człowieka udręczonego jedną torturą więcej. Jeżeli płakała, to wtedy, gdy jej nikt nie widział — wtedy gdy chciała śpiewać, dławiono ją w gardle — ale wobec ludzi „nigdy nie okazywała smutku”. Te same słowa zapisują o jej mężu i jego kolegach dozorców więziennych w raportach, przesyłanych najwyższemu władzom. „Sforaj się być weseli” wobec dozorców i szpiegów — zawsze głowa do góry (miała nos dumny i lekko zadarty — pisze szkicuując więzienny portret księżnej Rozen) zawsze dbałość o zewnętrzny wygląd „bo nie należy w żadnej okoliczności tracić otuchy i zaniedbywać się” (zapiski) a zarazem owa dama, „zawsze dumna i wymagająca wobec komendanta i władz — jest pokorną służką niedoli, i nosząc w dwojczkach jedzenie mężowi, z głową zawiązaną chłopską chusteczką, anonsuje się żartobliwie: „kandalszczyca” Wołkońska“.

To towarzystwo „kajdaniarskie” a bardzo wytworne stwarza sobie swój własny świat, żyje swoim życiem. Rodzinne uroczystości, imieniny, rocznice obchodzą z takim pietyzmem, jak niegdyś w rodzinnych domach. Cieszy się księżna Marja, że oto pierwszy raz udaje jej się imieniny męża razem z nim przepędzić. W 25 roku był on na służbowym objeździe, w 26-ym siedział w twierdzy Petropawłowskiej, a w 27-ym właśnie na dzień św. Sergjusza 5 lipca przypada dzień urodzenia się. Żyli się ci ludzie serdecznym uczuciem dopiero tu w ostrogu — tylko zmieniły się role: dawniej młodzianka kobieta patrzyła z nieśmiałym szacunkiem na poważnego generała, błyszczącego luną orderów i sławą walcząco — dziś można opiekunka otacza macierzyńską prawie, tkliwą opieką znużonego człowieka, czasem w utopistycznym swym idealizmie bezbronno, jak dziecko.

(c. d. n.)

K. Bielańska

WANDA MIŁASZEWSKA

## LIST Z KRAKOWA

Trochę o deszczu, gradzie, o kasztanach kwitnących, o chrzcinach i obiadach proszonych — Linja A—B i dyrektor Trzcziński z „Lampką Oliwną” — Nowy poeta i nowa tragedia: — Karol Hubert gronu recenzentów. — Świątki chodzą po scenie. — Oczy Emila Zegadłowicza. — „Kordjan” ważna rola kurtyny w Teatrze Miejskim. — Dlaczego nie było czarownicy? — Do czego służy scena. — Spisek i spiż. — Zakończenie „Bagatelne”. — Planty i Wawel. — Cegielki i arrasy, oraz ząb czasu i palce publiczności.

Stanowczo przyświeca mi szczęśliwa gwiazda podróżnicza, bo żeby na czterodniowy zaledwie mój pobyt w Krakowie przypały aż dwie premjery teatralne, trzy burze, jeden grad, dwa obiady prośzone i chrzciny, to, — przyznajcie, czytelniczki drogie, — bardzo wiele wydarzeń w pół-martwym sezonie, gdy na plantach uczniowie „obkują się” przed egzaminem maturalnym, patrząc ze strachem na przekwitające kasztany, a do teatru chodzą tylko ci, którym dobry los, albo dobry znajomy przysłał tak zwane „kartki”.

Deszcz pada w Krakowie przeciętnie co drugi dzień, premjera wypada przeciętnie raz na tydzień, obiad proszony zdarza się raz na miesiąc, (i to przy sprzyjających okolicznościach, czyli wkrótce po 1-szym,) kasztany kwitną raz do roku, a chrzciny odbywają się w przeciętnej rodzinie jeszcze rzadziej, wzięwszy pod uwagę, że przysparzanie państwu nowych obywateli, przysparza przedewszystkiem kosztów w gospodarstwie domowym, które i tak dzięki gwałtownej naprawie skarbu przeżywa dotkliwy kryzys.

Otóż trzeba zaiste trafu, by w przeciągu tak krótkiego czasu przeżyć tyle różnorodnych wrażeń i wydarzeń. Każdy, kto kiedykolwiek mieszkał w Krakowie i ma tam powiedzmy, dwadzieścia osób znajomych, wie, że wystarczy udać się w godzinach popołudniowych na Rynek, na tak zwaną Linję A—B i pospacerować po trotuarze przez kwadrans. Idąc w jedną stronę, spotkasz dziesięciu swoich znajomych, wracając — spotkasz drugie tyle, a jeśli przypadkiem kilku nie stało się, to znaczy, że albo są chwilowo nieobecni w Krakowie, albo ich znajdziesz z pewnością w Esplanadzie lub w cukierni Lwowskiej, czyli, jak się ją po dziś dzień tradycyjnie nazywa — u Michalika.

Dzięki tej uproszczonej marszrucie zaraz pierwszego dnia po przyjeździe spotkałam się oko w oko z Dyrektorem Teatru Miejskiego, panem Teofilem Trzczińskim i dowiedziałam się na wstępie, że parę dni temu było wznowienie „Kordjana” w oryginalnej inscenizacji (bez skrótów), a właśnie jutro premjera sztuki świętego poety, Zegadłowicza, pod tytułem

„Lampka Oliwna”. Że Emil Zegadłowicz jest jednym z najszczerzych i najbardziej utalentowanych poetów współczesnych, wiedziałam już oddawna, albowiem czytałam znaczną część jego utworów z „Balladami o powsinogach beskidzkich” na czele, — ale że wystawia w Krakowie swój dramat, o tem, — przyznaję ze skruczą — nie wiedziałam.

Ponieważ każdy nowy utwór sceniczny polskiego pisarza budzi zrozumiałe zainteresowanie wśród naszej inteligencji, przeto rozpoczniemy od „Lampki Oliwnej”!

„Tragedja w 3-ach aktach Emila Zegadłowicza — głosi afisz. — Osoby: Ojciec, Hanka (Stanisława Wysocka) Błazek, Jasiek, Dominik, 5-ciu chłopów, pięć bab wiejskich, a prócz tego „świętki” domowe: św. Izidor — oracz św. Tomasz, św. Barbara i św. Katarzyna. Rzecz dzieje się we wsi beskidzkiej, w listopadzie”. Dlaczego właśnie w listopadzie, tego nie mogę dobrze pojąć. Czyżby jedynym autorem kierował powód, że, jak powiada Wyspiański: listopad dla Polaków niebezpieczna pora”. Sądzę jednak, że zarówno w styczniu, jak w sierpniu, tragedia nie straciłaby nic ze swej grozy.

Przed rozpoczęciem widowiska Karol-Hubert Rostworowski, znakomity dramaturg, autor „Judasza” i „Kaloguli” w gorących, z wielką swadą wypowiedzianych słowach, wprowadza — takby to można określić — nowego polskiego autora na deski teatralne. Dostaje się przytem potroszę i krytykom i publiczności; wytrawny autor dramatyczny broni zawczasu młodszego kolegę przed ewentualnemi zarzutami ze strony recenzentów, poleca go opiece i głębokiemu zrozumieniu widzów, rzuca z góry anatęmę na tych, którzyby w zbyt pochopnym sądzie ośmielili się doszukiwać w utworze Zegadłowicza jakichś wpływów i pokrewieństw z innymi autorami (Wyspiański)

Taki wstęp, prawie nie do pomyślenia na gruncie warszawskim, — w teatrze im. Słowackiego znajduje dobre, a nawet gorące przyjęcie. Wogóle należy zaznaczyć, że publiczność krakowska jest lepsza, życzliwsza, cieplej odnosi się do sztuki, z siostrzaną wyrozumiałością wczuwa się w ducha tych utworów, których, jeżeli nawet nie docenia, to w każdym razie nie krytykuje z miną pyszałka: „Je sais tout”. Pierwszy utwór sceniczny poety został przyjęty z entuzjazmem przez licznie zgromadzonych widzów.

Słusznie „Lampka Oliwna” nosi miano tragedji. Jest to bowiem na wzór greckiej zbudowana, współczesna, chłopska tragedia, w której rolę chórów objęły świątki domowe i one to obwieszczają fatalne losy zagrody wiejskiej, przepowiadają, co tu będzie się działo za chwilę, jakich krwawych zbrodni świadkiem niemym stanie się zaciszna chata...

Najpiękniejszym pomysłem artystycznym całej sztuki są właśnie owe

świętki. One też, przewijając się przez sceny pierwszego i drugiego aktu, są żywym wcieleniem istotnej poezji, która w ostatnim akcie — trzecim — nie ma dostatecznej siły w słowach, aby okupić cały ogrom nagromadzonych okropności

Potworny czyn Hanki nie znajduje ekwiwalentu w piękności wiersza. Zbrodnia dla zbrodni. Podłości ludzkiej nie motywuje autor niczem innym, jak tylko podłością.

Nie wolno sztuki Zegadłowicza zaliczać do rzędu tych, w których na zakończenie wybiega sufler i przebija się świecą, albowiem żaden z aktorów nie został przy życiu. Ale wolno nam zrobić nieśmiałą uwagę: że utwór czyni takie wrażenie, jakgdyby jasne, przenikliwe oczy poety uległy nagle przekrwieniu. Dlatego mamy na zakończenie obraz zbyt monotony w barwie. Widz wychodzi z teatru z uczuciem grozy tak purpurowej, jak światło lampki oliwnej, sączące się przez palce ojcobójczyni — i tak niszczącej, jak krwawe płomienie, ogarniające chatę w trzecim akcie.

Wychodząc z teatru, wnosimy oczy ku górze i doznajemy uczucia ulgi na widok łagodnego szafiru nieba, osypanego śniegiem gwiazd srebrnych, jak miłosierdzie.

Mimo owe zbyt nie może przeciążenie okropnościami, „Lampka Oliwna” jest jednym z owych tak rzadkich obecnie utworów, o których jednogłośnie wszyscy powiedzieć muszą, że zrodził je duch prawdziwego poety.

„Kordjan” bez skrótów wygląda mniej więcej tak: Kordjan z Grzegorzem. Kurtyna. Kordjan z Laurą. Kurtyna. Laura ze sztambuchem. Kurtyna. Kordjan w James-parku. Kordjan w willi włoskiej. Kordjan w Watykanie, etc. etc. ect. Kurtyna, kurtyna, kurtyna. Lawiele odstępów. Ciągłe wznoszenie i opadanie kurtyny rozrywa skupienie. Dla najkrótszej chyba w całej historii teatru sceny, gdzie car Mikołaj mówi jedno tylko słowo: przysięgam — ustawia się przez dziesięć minut kunsztowną dekorację, ubiera się tłum statystów w stroje biskupie, w szaty frejlin dworskich etc. wskutek natłoczenia obrazów, upadają jedne na drugie, pozerają się wzajemnie, dławia.

Czytałam „Kordjana” tysiąc i jeden razy i widzę wszystkie sceny. Ale na scenie trzeba widzieć tylko to, co najważniejsze. Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego dyrekcja teatru Miejskiego, dając aż 19 obrazów Kordjana, nie dała jeszcze dwudziestego, (właściwie pierwszego,) t. j. prologu. Cemu nie pyta szatan:

Hej, czarownico, czy wybiła godzina?

CZAROWNICA

Która?

SZATAN

Godzina, której żaden człowiek  
Dwa razy w życiu nie słyszy.

CZAROWNICA

Uderzy etc. etc

Pierwotny układ sceniczny, łączący np. 3 obrazy początkowe w jeden, miał tę właśnie zaletę, że dzieląc całość na poszczególne dzwona nie rozrywał jej, nie łamał przykrym realizmem zasuwającej się co chwila kurtyny. Kto poszedł na Kordjana, aby go *widzieć oczyma*, doznaje dzięki temu przykrych wstrząsów, gdyż każdej przerwie towarzyszy światło na widowni, a światłu, — rzecz naturalna — szeroki rozgwar ludzki. I jak tu się zatopić w poezję, jak schwytać rozciętą na dziewiętnaście kawałków złotą nić... Scena jest po to, by skracać czas i przestrzeń, łączyć w jednościami miejsca, kondensować, a nie rozwadniać akcję.

Pomimo niedociągnięć, wpływających z technicznych trudności, związanych z tak drobiazgową inscenizacją Kordjana, widowisko obfitowało w momenty nader udatne. Tak np. rozmowa Kordjana (p. Białkowski) z Laurą (p. Mazurkiewiczówna) scena w James-parku, (Piekarski jako dozorca, a nast. jako doktor stworzył oryginalną kreację) scena u warjatorów i na Placu Saskim, wypadły bardzo dobrze. Rozmowa Mikołaja z Konstantym musiała wydać się nieco przyblada dla tych, którzy w roli Wielkiego Księcia mieli szczęście widzieć Solskiego.

P. Białkowski (Kordjan) zdawał się niedysponowany. W kulminacyjnej scenie (spisek w podziemiach katedry) słowom: „Milcz, księżo, milcz księżo! Myśli w niebo lecącej twój zwrok nie dosięże“ nie sekundował głos artysty. Spizowe wyrazy rwały się jak strzępki waty. Również i dalszym wierszom zbrakło siły. Wogóle scena spisku, jedna z najpotężniejszych w „Kordjanie“ zmalowała i skurczyła się, jak owi ludzie, o których mówi „podchorąży“:

Jakże mi nagle w oczach życie moje zbladło  
Na jedną kartę przyszłość postawiłem całą  
I nic. Olbrzymi spadli ze szczydeł.—To karły!

Więcej o Kordjanie trudno mi pisać, ze względu na to, że każdy feljeton musi się od czegoś rozpocząć i na czemś skończyć. Skończyć zaś mam zamiar „Bagatelą“, streszczając wrażenia z tego teatryku w kilku słowach: miły, czysty, grają dobrze, repertuar mniej więcej taki, jak w Warszawskiej Komedji; dekoracje wewnątrz „à la Frycz“, naturalnie w minjaturze. Grano ostatnio „Pierścien z szafirem“, komedję Lakatosa (węgra). Także „à la“... tym razem à la „kobieta, która zabiła“ tylko z weselszym zakończeniem. Zresztą - idealny trójkąt małżeński nie dla wszystkich krakowianek jest ideałem. Pod tym względem nowoczesny Kraków trzyma się starszych tradycji i jeśli nawet pozwala sobie czasem na swobodniejszy ton w zachowaniu, to zawsze pod pewnym warunkiem: niezbyt często i nie zbyt jawnie.

A sam Kraków? Śliczne, jak zawsze, planty, szczególnie śliczne w tej

porze roku, cieniste, pełne parków rozmarzonych, jak nasze Łazienki. Wawel stoi na miejscu, choć roboty widocznie posuwają się naprzód. Na murach przybyły nowe cegielki, wewnątrz murów przybyły stare arras. Cegielki nie zdobią murów, mam nadzieję, że je wkrótce pokryje błuszcz. Arrasy są cudowne i sędzę, że zachwycona publiczność, „dotykalnie“ oglądająca je codziennie, przypomni sobie w porę, iż ząb czasu okazał się mniej barbarzyński wobec tych cudów, niż ona.

## MIASTO ENTUZJASTYCZNE

(z wycieczki dziennikarzy do Wilna)

Na Zielone Świeta gościnne Wilno przyjmowało manifestacyjnie tysiące przedstawicieli wszystkich ośrodków i zakątków Rzeczypospolitej.

„Miasto entuzjastyczne“ — o nazwę tę z Wilnem mógłby rywalizować chyba pod pewnym względem tylko Lwów — znalazło dość miejsca, czasu i serca dla rzesz sokolstwa, które odbyły tu zlot i popisy, dla elity polskiego świata prawniczego, zgromadzonego na pierwszy swój zjazd w uniwersytecie im. Stefana Batorego, dla zadzierzystych dowórczyków, dla naszej wycieczki dziennikarzy wreszcie, w liczbie 40 uczestników reprezentujących kilkanaście miast polskich.

Gród Jagiellonów, który przed stu laty, niby słup ognisty, siedł na czele kultury duchowej i promieniował patriotyzmem w ciemną — niestety — przyszłość, Wilno w odrodzonej Polsce wre nowym życiem, czynnym, pełnym zapału w walce o rubież polskie.

Przyśpieszone tempo organizowania się na wszystkich polach jest jednym więcej — dowodem żywotnego entuzjizmu wilnian.

W muzeach Wilna, pełnych arcydzieł sztuki i pamiątek historycznych tkwi widocznie jakiś ferment pobudzający i podniosły. Uniwersytet — rozbudowuje się w zdumiewająco szybki sposób, wydobywa z pod ziemi środki na nowe zakłady naukowe, kliniki i pracownie (biblioteka i około 40 zakładów).

Pod względem ogólnych urządzeń kulturalnych i sanitarnych, Wilno ma



niewątpliwie duże braki — spadek po rządach zaborczych. — Ale zarząd miasta zaprowadził już instytucję lekarzy sanitarnych, utrzymuje 4 szpitale na łączną ilość 850 łóżek oraz 6 przychodni, z których korzysta blisko 10 tysięcy osób rocznie, łaźnię, izbę dezynfekcyjną. W dziedzinie szkolnictwa koiosalną trudność stanowi fakt, że Wilno nie ma ani jednego gmachu szkolnego, i musi mieścić szkoły w lokalach prywatnych. Budżet szkolny miejski w roku bieżącym preliminowano przeszło 300 tysięcy złotych.

Realna praca nie odciąga społeczeństwa wileńskiego od kultu przeszłości. Na górze zamkowej kwitnie krzyż z kwiatów na mogile straconych powstańców, z góry Trzech Krzyży jaśnieje pomnik, budowany po nocach, dosłownie rękami wszystkich Polaków wileńskich w czasie okupacji.

Dzisiejsze dążenia z wczorajszą tradycją łączą w jedno ogniwo ci entuzjaści, pracownicy niestrudzeni, zakochani w „żywych kamieniach“ Wilna, w jego malowniczości i wewnętrznym uroku. Zetknęliśmy się w czasie wycieczki dziennikarskiej z ludźmi, jak prof. Ferdynand Ruszczyc, dziekan wydziału Sztuk Pięknych, jak prof. Juljusz Kłos, obaj z uniwersytetu, jak p. Jan Bułhak, dla których Wilno stanowi niewyczerpaną krynicy działalności i natchnienia. Jakżeż wzruszający jest „fanatyk Wilna“, chodząca jego kronika, staruszek, napół niewidomy asystent biblioteki uniwersyteckiej, który na wszystkich zwiedzaniach Wilna towarzyszył naszej wycieczce, z niebywałym zapałem komentując objaśnienia oprowadzających nas panów profesorów.

W wycieczce prasowej brały udział trzy dziennikarki, po jednej ze Lwowa, Poznania i Warszawy. Mimo szczerych chęci brak czasu nie pozwolił na bliższe zetknięcie się nasze ze społeczeństwem niewieścim Wilna. Zdaje się, że działalność społeczna wilnianek, tak wydatna czasu wojny w „Kole Polek“ znacznie obecnie przygasła. Wilnianki próbowały się organizować, lecz, jak dotąd w swojej pracy ograniczają się przeważnie do dziedziny filantropijno-opiekuńczej. Na samorządowych stanowiskach kobiet niema. W dziennikarstwie pracują dwie dzielne koleżanki. Znaczny udział biorą natomiast wilnianki w pracy nauczycielskiej. Na uniwersytecie dużo kobiet jest asystentkami poszczególnych zakładów naukowych — kobiety stanowią blisko 1/3 ogółu młodzieży uniwersyteckiej, jednakże na 445 (cyfry zeszlenczone) słuchaczek rzeczywistych było tylko 101, reszta to wolne słuchaczki, przeważnie nauczycielki. Cyfry te, które świadczą o pewnych brakach przygotowania do studjów, świadczą naodwrot znowu o tym entuzjazmie duchowym, krzewiącym się hojnie nad brzegami Wilni.

Polska mocna tam jest w duchu i w codziennym czynie.

## Wystawa żeńskich szkół zawodo- wych Państwa Polskiego.

W czasie Zielonych Świątek otwarta została w gmachu Stowarz. Techników w Warszawie, wspaniała wystawa prac żeńskich szkół zawodowych. Rządy zaborcze, w Królestwie szczególnie, wstrzymywały rozwój szkolnictwa przemysłowego, bojąc się zbyt nięgo usamodzielnienia się uciemiężonego kraju. Wolna Polska objawiła w tym kierunku żywy instykt samoobrony; chce w rodzinie narodów cywilizowanych zająć wydatne miejsce, zdobyte własną, odrębną wytwórczością i wyteżoną pracą. Kobiety nasze, odznaczające się zawsze bujną inicjatywą i zrozumieniem zadań społecznych, pogarnęły się żywo do tego typu pracy, który pomnaża bogactwa krajowe. Małopolska oddawna już szła w kierunku przemysłu ludowego, nie posiadając zaś wielkich fabryk—tworzyła drobne warsztaty, w których nadawano wychodzącym z nich wyrobom wysokie piętno artystyczne, na wzorach sztuki ludowej oparte. Obecnie Warszawa stanęła na czele ruchu wytwórczości kobiecej w tym kierunku. Założone przed kilku laty Seminarjum dla instruktorek żeńskich szkół zawodowych, rozwijając się świetnie pod kierunkiem pani Godzimirskiej, wypuszcza corocznie cały szereg abiturjentek, które, rozmieszczone po całym kraju, prowadzą, coraz liczniej powstające, szkoły zawodowo-przemysłowe. Całą zaś akcją kieruje wydział szkół zawodowych przy Min. Oświaty z p. Zaborowską na czele.

Rezultat, jaki w tak krótkim stosunkowo czasie, osiągnąć zdołano, przeszedł wszelkie oczekiwania. Wystawa, która jest odzwierciedleniem dokonanej pracy, jest wprost wspaniała i budzi jaknajlepsze nadzieje już nie tylko co do szybkiego uprzemysłowienia kraju, ale co do przyszłego, wybitnego stanowiska naszej wytwórczości na rynkach wszechświatowych. A da nam je, niewątpliwie, zużytkowana umiejętnie i przystosowana do potrzeb handlu, sztuka ludowa.

Rozejrzyjmy się po wystawie. 148 żeńskich szkół zawodowych zdążyliśmy już założyć, a z tych znaczna liczba przysłała swoje okazy. Jest to więc obraz wytwórczości kobiecej wielkiego obszaru, ciągnącego się od Tatr do Bałtyku, o odmiennych motywach w każdej okolicy kraju, a składających się na bogaty zespół artystyczny. Zaczniemy od Małopolski, jako posiadającej już dawną tradycję w tym kierunku. Oto żeńska szkoła krakowska, wyrabiająca bodaj najpiękniejsze w Polsce kilimy; oto Seminarjum gospodarcze, przysposabiające kierowniczkę do szkół specjalnych. Lwów ma tylko jedną żeńską

szkołę przemysłową, do której uczęszcza 500 dziewcząt. Widzimy tam b. piękne okazy modniarstwa, jak np. kapelusze, modne obecnie szale i torbeczki, w jednym tonie utrzymane, a pięknie ozdobione.

Zakopane. Obfitość okazów prac szkoły koronkarskiej, szkoda tylko, że stosując obce flamandzkie i francuskie wzory, zatracą się tam linje rodzimego zdobnictwa.

Poznań wystąpił z bogatą wystawą prac swojej żeńskiej szkoły przemysłowej; znać tam usilne staranie wywołania się z pod długotrwałych niemieckich wpływów, w robotach ręcznych szczególnie, znać cierpliwe i wytrwałe poszukiwanie swojskich motywów.

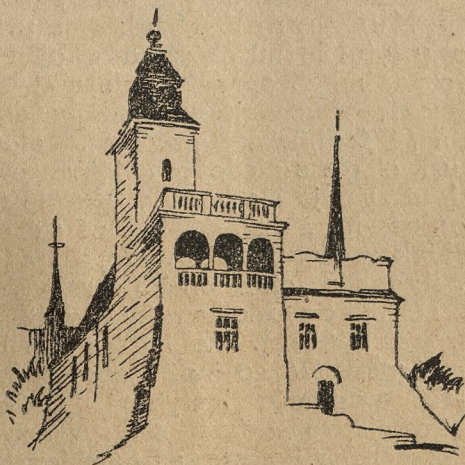
Przerzucamy się na drugi koniec Rzeczypospolitej, na Wschód. Oto Wilno wystąpiło b. bogato. Szkoła handlowo-przemysłowa ma tam 250 uczennic, kurs jest 3 letni, uczennice b. ładnie stylizują białoruskie i litewskie wzory ludowe, szczególnie używane tam pasy, których rysunek służy za motyw zdobniczy. Wystąpiły też wcale pokaźnie szkoły z miasteczek kresowych, Nowej Wilejki i Świecian. Znana i zasłużona pani Mohłówna, która tak długo prowadziła sławną szkołę tkactwa w Rzerzycy, po zniszczeniu wojennym, przeniosła część uratowanych warsztatów do Wilna i tam prowadzi dalej swoją pracę, przygotowując instruktorki tkactwa dla Sejmików powiatowych.

Organizatorzy wystawy nie zachowali podziału dzielnicowego, co może ułatwiałoby orientację, ale co lepsze jest może dla uwydatnienia całości kształtu pracy, notując jednak kolejno nasze spostrzeżenia, musimy się przerzucić w różne okolice Polski. I tak tuż za Wilnem znajdujemy szkołę przemysłową państwową w Inowrocławiu i tamże wyroby zakładu sióstr

zakonnych, cudowne, na wzór starożytny wykonywane, ale zgrabne chyba dla oczu koronki kościelne. Dalej szkoła w Lesznie, w Poznańskim ze znakomitem koszykarstwem, pończosnictwem, tkactwem i t. p., a potem jeszcze jedna z najbardziej wzruszających nas prac: szkoła w Kościerzynie. 50 dziewcząt kaszubskich z naszej nadbałtyckiej ziemi doskonali się tam w haftach miejscowych, nadzwyczaj barwnych i bogatych, słucha nauki o Polsce i nauki obywatelskiej, ćwicząc się w zajęciach domowych i handlowych. Czas nam jednak przejść do Metropolji i powiedzieć słów parę o szkołach warszawskich i prowincjonalnych. Oto wykwinna bielizna i negliże Seminarjum nauczycielskiego, wyrabiane w tym celu, aby nasze magazyny nie sprowadzały już modeli z Paryża, oto wzorowa szkoła gospodarcza w Chyliczkach, prowadząca naukowo różnorodne działy. Wystawy naszych żeńskich, miejskich szkół zawodowych zawsze wprowadzają nas w zdumienie; tyle tam gustu, artyzmu i pomysłowości. PP. Ściegoszowa, Bratkowska i Zielkiewiczowa, wybitnie się już, jako kierowniczkę, na innych wystawach zaznaczyły. Z rzeczy nowych widzimy pięknie haftowane, modne obecnie chustki jedwabne i szale, i przepiękną suknię białą (u p. Ściegoszowej) zdobną w haft wykonany na tle wycinanki łowickiej. Co nas jednak najwięcej ucieszyło, to wprowadzone świeżo szkoły „domowej pracy”, dwie z nich przedstawiły swoje wyroby na wystawie, a celem ich jest dokształcanie dziewczynek ze szkół powszechnych, przychodzących tam na parę godzin w cerowaniu, szyciu, łaianiu, gotowaniu i wogóle w zajęciach domowych.

Szkoły prowincjonalne b. Królestwa wystąpiły wspaniale. Prym trzymają tu Łódź i Lublin. Łódź dla doskonałe prowadzonej nauki rysunków, która sprawiła, że wielcy przemysłowcy tkaccy, sprowadzający dotąd wzory z Paryża, dziś organizują uczennice szkoły miejscowej na rysowniczkę fabryczne, Lublin zaś dla wyjątkowego poziomu artystycznego okazów wystawionych. Zwraca też uwagę praktyczną celowością szkoła dla dzieci robotniczych w Sosnowcu. Wspomnieć też należy szkoły: w Sandomierzu, w Marjówce pod Opatowem i inne. Z kulturalnych poczynąń kresowych wyróżnia się państwowa szkoła przemysłowa w Grodnie i ruchome kursy na Spiszu i Orawie. Te ostatnie przysłały b. piękne hafty miejscowe i strój ludowy.

Jakież jest ogólne wrażenie z wystawy? Nieprzebrane bogactwo motywów ludowych, umiejętnie i wytrwale ich stosowanie, umiłowanie sprawy przez kierowniczkę, słowem niezaprzeczony triumf kobiety polskiej.



## NASZE SZKOŁY MUZYCZNE

Zbliżają się wakacje letnie. Młodzież, znużona długomiesięczną nauką porzuci mury szkolne i rozpierzchnie się, wedle możliwości, wśród pól i łąk rodzinnych, czy podąży w góry lub na wybrzeże morskie.

Z zamknięciem roku szkolnego, zamkną się podwoje i szkół muzycznych. Opustoszeją sale koncertowe.

W sezonie ciepłego słońca, i starsi i młodzi, wolą bodaj od powabu najpiękniejszego koncertu, balsam świeżego powietrza, przestrzeń, może nawet wolą posłuchać, zamiast uczonej koloratury, świegotu ptasząt wśród drzew, poszumu lasu, a może nawet rehotu żab przy blasku księżycy! Lecz lato zbiegnie prędko i jeśm wkrótce powróci — a z nią razem i chłodne podmuchy, schronimy się z powrotem do wzgardzonych sal koncertowych, od których dziś stroniemy — wprawdzie nie dość ciepło ogrzanych w zimie, lecz dostarczających wrażeń dla ducha. Rozpocznie się znów nowy rok szkolny. I dlatego, już dziś należy pomyśleć, dokąd skierować młodociane talenty, aby im zapewnić jaknajlepsze wykształcenie muzyczne. Po niedawnych jeszcze wstrząsach wojennych i bezładzie życia codziennego, nastąpiło uspokojenie. Życie szybkim krokiem się „porządkuje“ a z powrotem normalnych stosunków, pęd i zamięłowanie do muzyki wzrasta wśród ogółu bez przerwy. Liczba uczących się muzyki i śpiewu, stale się powiększa. Zresztą bardzo słusznie. Jest to objaw dodatni i cieszyć się z niego należy. Społeczeństwo, miłujące pieśni i rytm harmonijny, składa świadectwo o swoich potrzebach kulturalnych.

Jedyna szkoła muzyczna w stolicy, Konserwatorium, w ciągu ostatnich kilku lat podniosło swą działalność i wydajność na wysoki poziom. Dzieło racjonalnego rozwoju zapoczątkował dyr. Emil Młynarski, który roztaczał swą pieczę nad instytucją w latach 1919 — 1921, wskrzesił orkiestrę uczniowską dęto-smyczkową. Po Młynarskim objął naczelnne stanowisko, Henryk Melcer i włożył tyle ducha i umiłowania w pracę dla dobra tej najstarszej uczelni, poświęcił tyle niezmordowanych trudów i troskliwości, iż względnie w krótkim czasie uzewnętrznił się plon jego zabiegów, dla wszystkich, którzy się interesują sprawami konserwatorium.

W r. b. za inicjatywą dyr. Melcera dobudowaną została sala kamealna, mieszcząca 150 miejsc, przeznaczona na uczniowskie koncerty, zorganizowały się również systematyczne produkcje uczniów raz na tydzień — rodzaj zbiorowych lekcji z udziałem profesorów studjów porównawczych.

Pierwszorządny dobór personelu nauczycielskiego pogłębił zaufanie i stwarza zachęcający impuls dla kształcących się adeptów wiedzy muzycznej i pobudza ich ambicje artystyczne. Klasa kompozycji w r. b. wyłoniła z siebie kilka poważnych talentów, których utwory były publicznie wykonywane i doznały przychylnego przyjęcia u prasy i publiczności, jak np. symfonia Rybickiego i inne.

Skład profesorów przedstawia się następująco:

Fortepian (kurs wyższy) dyr. Melcer, Zbigniew Drzewiecki, Józef Turczyński, Rabcewiczowa — Poznańska, kurs średni: Hust, Heintze, Piotr Rytel, Paweł Lewiecki, Jerzy Lefeld, Chrapowicki, Buckiewiczowa, Dobkiewicz, Judycki, Małg. Trombini—Kazuro.

Klasa kompozycji i kontrapunktu R. Statkowski. Hist. muzyki i estetyki Stan. Niewiadomski.

Skrzypce: k. wyższy. Barcewicz i Waclaw Kochański, niższy: Aust i Klein.

Wiolonczela: Cink, Eli Kochański. Harfa: Troitzche. Śpiew Solowy: Edm. Heintze, Marja Trąpczyńska, Stanisława Korwin-Szymanowska, Sankowska.

Klasa operowa: Orda i Maliszewski.

Śpiew chóralny: Piotr Maszyński i St. Kazuro.

Organy: kurs wyższy: Mieczysław Surzyński. Kurs niższy: Henryk Makowski.

Kierownictwo klasy dramatycznej: Aleks. Zelwerowicz.

Liczba przeciętna ogółu uczniów w r. b. wynosiła około 700. Cena rocznie — Kurs wyższy 80 zł. p. — Kurs niższy 60 zł. p.

„Bratnia Pomoc“ istniejąca przy konserwatorium, ma już ustaloną opinię, że umiejętnie i sprężysto organizuje koncerty. Posiada w gmachu konserwatorium własną świetlicę i urządza w niej od czasu do czasu bezprentensjonalne zebrania towarzyskie z produkcjami muzycznymi.

I dawniejszemu „Towarzystwu Muzycznemu“ (obecnie urzędowy tytuł brzmi „Wyższa Szkoła Muzyczna im. Szopena“), należą się gorące słowa uznania za wydatną działalność, tem bardziej, że Tow. walczyć musi ciągle z niedoborami finansowymi, utrzymuje się bowiem prawie tylko własnymi siłami t. j. ze składek członkowskich i wpisowego, które jest b. skromnie obliczone (Kurs wyższy 16 zł. miesięcznie kurs niższy 12—14 zł. na miesiąc). Zabiegliwy komitet czyni wszystko co może, aby podtrzymać żywotność instytucji. Główne kierownictwo artystyczne spoczywa w rękach dyr. Bolesława Domaniewskiego i prof. Al. Michałowskiego. Czciogodni nestorzy polskich pianistów, dziś obaj jubileaci, mają za sobą pół

wieku chlubnej przeszłości pedagogicznej i nazwiska ich same za siebie mówią. Wykształcili pod swym kierunkiem liczne rzesze uczniów, nieomal pokolenie. Niejeden z ich wychowañców błyszczy dziś mianem wielkiego artysty. I zespół młodszych profesorów składa się z wybitnych nazwisk, jak np. Aleks. Wielhorski, Mik. Żurawlew, Józef Tołkacz, Józef Śmidowicz, Tisserant. Śpiew solowy prowadzi—Aust. Sequart — Różański, p. Ancewicz—Dworakowska, prof. Miecz. Surzyński. Historję i estetykę prof. J. Rozenzweig. Organy: prof. Łysakowski, ks. Nowacki, Furmanik i t. d.

Tow. Muz. gorliwie popiera rozwój śpiewu gregoriańskiego. Uczniowie ks. Nowackiego wykonywali chóralne pienia przed marszałkiem Fochem, podczas bytności tegoż w Polsce i bardzo się podobali. Pomimo szczupłych funduszy, Tow. kształci bezpłatnie niektóre talenty niezamodne, lub za śmiesznie niską opłatą. W r. b. liczba uczniów dochodziła do 600.

Na wyróżnienie zasługuje Instytut Muzyczny prof. Ant. Grudzińskiego z kursem trzyletnim. Dyplomy udzielane przez Instytut, są zrównane przez Dep. Sztuki i Kultury, z prawami Konserwatorium i dają możliwość przejścia do niego bez egzaminów. Zapewniają także prolongatę wojskowości,

Dyr. Grudziński projektuje na przyszły sezon szkolny znaczne rozszerzenie programu i wprowadza naukę kontrapunktu. Wydał on w r. b. nakładem M. Arcta, zbiór studjów passażowych na rozszerzenie ręki i gymnastykę palców w b. trudnych interwałach, pod tytułem: „Universum“, zaletony przez Najwyższą Radę Pedagogiczną. Dyr. Grudziński ma za sobą 22 lat pracy pedagogicznej. Tegoroczny popis uczniów Instytutu w dużej sali konserwatorium należał do b. interesujących wydarzeń sezonu na horyzoncie muzycznym i dał chlubne świadectwo dojrzałego kierunku.

Ruchliwością i rzetelnie artystycznym prowadzeniem, odznaczała się Szkoła Muzyczna Zofji Iwanowskiej-Ossendowskiej. P. Iwanowska-Ossendowska jest sama pierwszorzędną skrzypaczką—wirtuozką, a jej siostra, Jadwiga Zaleska utalentowaną pianistką.

Prócz fortepianu, skrzypiec oraz teoretycznych przedmiotów, Szkoła posiada klasę dramatyczną, wybornie prowadzoną przez prof. Kaz. Pomian-Zahorowskiego. Doroczny popis Szkoły odbył się 14 czerwca w Konserwatorium.

W r. b. przybyła nowootworzona na jesieni Szkoła im. Karłowicza i odrazu zajęła poważne stanowisko. Zespół sił kierowniczych gwarantuje dodatnie wyniki. Dyrektorem Szkoły jest muzyk i skrzypek, znany z estrady, J. Ozimiński, b. pierwszy solista orkiestry Filharmonijnej. Klasę for-

tepianu objęła p. Wąsowska - Rüdigerowa, niższy kurs p. Synoradzka. Śpiewu solowego uczą pp. Comte - Wilgocka i p. Niekraszowa. Teorii i solfeggia prof. Tad. Czerniawski, organizator popularnych koncertów niedzielnych, które nawiasem, mówiąc, świetnie się udawały.

Doskonale się zapowiadała Szkoła Operowa Stan. Boguckiego, niestety, zgon przedwczesny dzielnego artysty i zacnego człowieka wylał wielką szczerbę w kadrach wokalnopedagogicznych.

Do najdawniej egzystujących należy Szkoła Śpiewu Solowego prof. M. Sobolewskiej. Popis, obfitujący w produkcje zespołowe, dramatycznowokalne, wykonany pięknie wyszkolonymi głosami, odbył się b. udatnie w r. ubiegłym na scenie teatru „Reduta“.

W Warszawie istnieje po za wymienionymi, wiele innych jeszcze szkół prywatnych i kursów muzycznych, na większą lub mniejszą skalę prowadzonych, lecz szczupłe ramy artykułu nie pozwalają mi wymienić ich szczerzowo, więc o nich kiedy indziej.

Wanda Mirowska

## Na polach pracy i twórczości

### W SŁUŻBIE OJCZYZNY.

Dnia 17 maja 1924 r. obchodził Radom niezwykłą uroczystość. Żegnano wyjeżdżającą na stałe do Warszawy przewodniczącą radomskiego okręgu Koła Polek, p. Władysławę Zarembinę.

Nie w bezpiecznych i łatwych czasach niepodległego bytu Polski rozpoczęła p. Zarembina swoją działalność. Stała się ona do pracy wówczas, gdy za nią płacono więzieniem i wygnaniem.

Z początku pociągnęła ją działalność publicystyczna i literacka. Artykuły z dziedziny spraw społecznych, studia literackie, pomieszczone od roku 1898 w pismach warszawskich, wileńskich i prowincjonalnych, były jedyną drogą, na której dusza jej, żądna czynu, mogła wówczas zużytkować swe siły. Jednocześnie pracowała nad przekładem dzieł naukowych z obcych języków. W okresie od 1896 do 1904 r. przyswoiła naszej literaturze 12 tomów dzieł obcych, między innymi rzeczy pierwszorzędnej wartości, jak Foulle'go „Psychologia narodów europejskich“, Wagnera „Prostota w życiu“, Bourdeau'a „Kierownicy myśli współczesnej“ i t. d.

Około r. 1900 zetknęła się z konspiracyjną akcją Ligi Narodowej. Związek ten, zorganizowany w Szwajcarii przez Zygmunta Miłkowskiego, Zygmunta Balickiego

i innych stanowił mały niejako kontynuację organizacji 63 roku, a władze jego miały być uciśnionemu narodowi czemś w rodzaju własnego, tajnego rządu. Związek ten czeka dotąd, by ktoś kompetentny napisał jego arcyciekawą i pouczającą historję. Tu zaznaczymy tylko, że w ostatnim dziesięciu lat miniego stulecia i pierwszych latach 20-go wieku odegrał on bardzo poważną rolę w życiu Polski, a zwłaszcza w życiu zaboru rosyjskiego. Stawiając wyraźnie hasło niepodległości Polski, zalecał pracę nad oświatą ludu i wiązanie jaknajliczniejszych kół organizacyjnych, jako akcję podstawową, która miała wyrabiać pogrążone w bezwładzie, apatii i beznadziejności siły narodu.

Z temi hasłami idąc, Liga Narodowa wiązać poczęła podwładne sobie organizacje. Najpożyteczniejszą z nich okazało się wkrótce Towarzystwo Oświaty Narodowej i ogarnęło ono cały zabór rosyjski, a posługując się „Polakiem“, nielegalnym tygodnikiem wychodzącym pod redakcją Jana Popławskiego, budziło zamartwą świadomość narodową, ożywiało w duszach zapomniane wspomnienia dziejowe, wiązało współczesną Polskę z jej przeszłością państwową i wskazywało, że przyszłość zdobyć trzeba własnymi siłami.

Prócz Tow. Oświaty Narodowej, do którego przyłączyły się różne samodzielnie powstałe koła i kółka oświatowe, Liga Narodowa powoływała do życia inne jeszcze organizacje, jak Związek młodzieży, szerzony wśród młodzieży akademickiej całej Polski, jak Narodowy Związek Robotniczy i t. d., lub wiązała ad hoc, dla przeprowadzenia pewnych specjalnych akcji, organizacje tymczasowe, jak np. pierwszorzędną i bojową niemal rolę spełniający w pewnej chwili „Związek unarodowienia szkół“. Wszystkie te organizacje posiadały jeszcze podwładne sobie rozgałęzienia. Tym sposobem po kilkunastu latach pracy Polska cała pokryta została dość gęsto zasnutą siecią konspiracyjną. Liga Narodowa stała się potężnym czynnikiem ówczesnego życia.

P. Zarembina pochwyciła z entuzjazmem pracę Tow. Oświaty Narodowej, a prowadziła ją z niesłychaną wytrwałością i wyteżeniem sił przez cały szereg lat. Adwokat Jan Wigura, panie Zarembina i Wroncka był to triumwirat ziemi radomskiej, która przywykała coraz bardziej do ulegania jego moralnemu autorytetowi. „Polak“ docierał do wszystkich zakątków tej ziemi, tajne szkoły w niektórych okolicach były zjawiskiem powszechnym, „podatek narodowy“, dzięki zwłaszcza energii pań, płacić musieli niemal wszyscy mieszkańcy Radomia, bez względu nawet, czy solidaryzowali się z akcją konspiracyjną Tow. Oświaty Narodowej.

Panią Zarembinę, wprowadzono wkrótce do Ligi Narodowej, która, gdy szło o kobiety, nadzwyczajnie była oględna w doborze.

Mimo rozgałęzionej działalności, mimo że w ręku jej zbiegały się nici przeróżnych akcji, dzięki ostrożności, umiejętnemu traktowaniu tych spraw, a może i „szczęściu“ p. Zarembina nie stała się nigdy na dłuższy czas ofiarą prześladowań moskiewskich. Raz tylko w r. 1910 aresztowana, dzięki wypadkowi (zaginięcie aktów sprawy Jana Wigury o oderwanie prowincji od państwa), uwolniona po paru dniach, dostaje się jednak od tej chwili pod stały nadzór żandarmerji, co utrudnia niezmiernie jej pracę.

Po rewolucji 1905, gdy stało się możliwym tworzenie jawnych polskich instytucji społecznych, p. Zarembina organizuje: tanie kuchnie, sale zajęć i t. p. placówki pracy jawnej, potajemnie jednak kierowane przez T. O. N. i prowadzone w jego duchu.

Nikt nie zliczy, ile drobnych, codziennych prac i wysiłków składa się na „roboty“ tajnego działacza polityczno-oświatowego, ile cogodzinnych niepokojów i ile nocy nieprzespanych ile pytań, czy dzisiejszej nocy już ręka żandarma umiłowanej pracy nie przerwie. Pokolenia obecne ani sobie tego wyobrazić, ani docenić zasługi cichego bohaterstwa tych ludzi już nie potrafią.

Lata całe żyć pod grozą ciosu, z myślą tą żywać się, godzić i mimo niej pracować, pracować bez wytchnienia, z wiarą jedynie w ziszczenie się kiedyś dalekiego celu — na to trzeba być naturą heroiczną. I jedną z takich była działaczka radomska.

Zajmując w tajnej organizacji wysokie stanowisko (członkini Zarządu Głównego T. O. N. i Zarządu okręgu radomskiego) nie mogła nie dostrzec, że od r. 1905 platforma ideowa naczelnych władz Ligi Narodowej ulegać zaczyna pewnym wahaniom. Idea niepodległości staje się na gruncie tym tylko hasłem, tylko zawołaniem, ale nie konkretnym celem, nie bezpośrednim dążeniem. Liga Narodowa, korzystając ze zdobyczy rewolucji 1905 r., wyłania stronnictwo demokr. narodowe, do którego garną się żywiły mające mało podobieństwa z typem dawnych konspiracyjnych działaczy Ligi, żywiły, pragnące obracać się w ramach „legalnego“ porządku państw zaborczych i zdecydowane z góry na ugodowe z nimi współżycie. Polityka stonnictwa dem. nar. na gruncie Dumy petersburskiej, głosowanie za powiększeniem kontyngensu rekruta i t. p. wywołują w Lidze Narodowej wrzenie, kończące się coraz nowymi rozłamami. Odchodzą raz po raz grupy starych irredentystów, dla których zasada niepodległości nie była czczem słowem. W miarę, jak usuwają się elementy nanarodoworadykalne, polityka stronnictwa, a właściwie kierującej nim Ligi, przybiera

charakter wyraźnej orientacji rosyjskiej.

Pani Zarembina należała do ostatniej secesji: liczyła się do tych co najdłużej wierzyli w możliwość nawrotu do pierwotnie przyjętych zasad, do tych, którym najciężej było rozstać się z tajną organizacją.

Organizacja bowiem taka dla ludzi bezdomnych i bezojczyźnianych — to dom i ojczyzna! Opuściła szeregi Ligi Narodowej w r. 1911 po pamiętnej uchwale stronnictwa dem. nar., znośzącej bojkot szkoły rosyjskiej.

Uczynił to samo cały okręg radomski T. O. N. Uczyniły i inne okręgi.

P. Zarembina nie przestała jednak pracować, a zawsze w tym samym, niepodległościowym kierunku.

Gdy wybuchła wojna 1914 r., jako podejrzanej o sympatje legjonowe, poszukiwali jej moskale. Musiała uchodzić, ukrywać się, aż do chwili opuszczenia Polski przez wojska rosyjskie. W niepodległej Polsce pracuje inaczej, ale równie gorliwie. Jest przewodniczącą Tow. Ochr. Kobiet w Radomiu, zakłada w 1918 r. Komitet pomocy dla ubogiej inteligencji, „Zjednoczenie Polek“, które posiada 22 oddziały w różnych miejscowościach ziemi radomskiej, a w r. 1920 organizuje „Koło Polek“ i staje na czele okręgu radomskiego tej pożytecznej organizacji. Poza tem bierze udział we wszystkich stowarzyszeniach społecznych i filantropijnych, niestrudzona, niezmordowana nigdy.

To też, gdy przyszło żegnać ją, nikt nie mógł odmówić hołdu zasłużonej działaczce. Od socjalistów do endeków, wszyscy znaleźli się za stołem biesiadnym, strojnym w kwiaty wiosny: jabłonie, narcyzy, niezapominajki. Najdawniejszy towarzysz niebezpieczeństw, trudów, ciężkich trosk i promiennych nadziei, mecenas Jan Wigura zagrzał ją słowami, w których drgała pamięć przeżytych wspólnie wydarzeń i entuzjasmów, przekuty w stal czynu.

H....a

czędna, jak każda prawdziwa francuska, nie lubiła też przepychu i wystawnych przyjęć, ani dworskiej etykiety.

Pierwszym czynem pani Millerand, po wyniesieniu jej męża do godności Prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, było — zastosowanie oszczędności budżetowych. Nowoobрани prezydent ma, jak wiadomo, prawo odnowienia według swego upodobania prywatnych apartamentów, przeznaczonych na jego mieszkanie w pałacu Elizejskim na koszt rządu. Korzystają z tego oczywiście skwapliwie najmodniejsze firmy paryskie, ofiarowując małżonkom prezydentów swoje usługi w kreowaniu „nowego stylu“ umeblowania. Pani Millerand jednak jedyna, o ile się zdaje, z pośród swych poprzedniczek — odrzuciła wszystkie te oferty z całą bezwzględnością, wyrażając natomiast życzenie, aby oszczędzone tą drogą z kasy państwowej pieniądze, zostały użyte na zaspokojenie potrzeb t. zw. „pays mutilés“, czyli prowincyj francuskich, zdevastowanych przez wojnę.

W czasie dłuższej podróży prezydenta do Ameryki, pani Millerand zamyka wielkie salony reprezentacyjne i usuwa się najzupełniej od szerszego życia towarzyskiego. Hasłem jej staje się: „Nous devons épargner. Nous n'avons pas remporté une victoire complète“. (Powinniśmy oszczędzać: nie odnieśliśmy jeszcze całkowitego zwycięstwa).

Tem większe za to triumfy święciła pani Millerand w gronie swych najbliższych. Kochająca i kochana matka i żona, otoczona była ponadto ludźmi, którzy podziwiali jej dobroć, rozum i żywą, prawdziwie francuską inteligencję. Salon jej prywatny — otwarty tylko dla tych, co mogli się poszczycić „d'être de ses intimes“, zgromadzał wszystko, cokolwiek Paryż posiada najlepszego w zakresie sztuki, polityki i wiedzy.

#### ROZWODY W AMERYCE.

Statystyka rozwodowa w Ameryce wykazuje cyfry wprost przerażające. Stoi to przedewszystkiem w związku z panującą tam obecnie modą zawierania małżeństw w wieku prawie dzieciennym. Tak na przykład, wedle statystyki urzędowej, przeszło 700 chłopców poniżej lat 16-u wstąpiło w roku ubiegłym w związki małżeńskie, 80% z pośród nich rozwiodło się lub usiłowało odebrać sobie życie.

W 17-ym roku życia ożeniło się 7700 chłopców, z tych 266 już się rozwiodło. W 19-ym roku — 50000: rozwodów 1327.

Co się tyczy dziewcząt, to cyfry statystyczne przedstawiają się jeszcze gorzej. W 1923 r. wyszło zamąż 41620 dziewcząt szesnastoletnich — z tych rozwiodło się 1268, — i 90930 siedemnastoletnich — rozwodów 2792.

Liczne stowarzyszenia kobiece rozwijają gorączkową działalność dla ograniczenia tej klęski, która przybie-

ra rozmiary wprost epidemii psychicznej. Ma być przedstawiony Kongresowi Waszyngtońskiemu projekt nowej ustawy o małżeństwie i rozwodach.

#### MATRYJARCHAT NA SAHARZE.

Kapitan francuski Rotier, który przedsięwziął z ramienia rządu ekspedycję w głąb Sahary, utrzymuje w raporcie oficjalnym do władz, iż udało mu się natrafić w pewnych nieznanych dotychczas okolicach pustyni na osadę plemienia, rządzącego się prawem matryjarchatu. Kobiety tego plemienia, dzierżące ster rządów w swoich rękach, są — jak pisze kap. Rotier — silne, wysokie, doskonale rozwinięte fizycznie, w przeciwieństwie do mężczyzn, odznaczających się niższym wzrostem i słabszą budową ciała.

Wszystkie roboty domowe spełniane są w tem państwie nowożytnych Amazonek, przez mężczyzn, natomiast obowiązek obrony plemienia spada na wojownicze niewiasty. Staczają one również często walki pomiędzy sobą, odbywa się wtedy rodzaj turnieju rycerskiego, czy zapasów ręcznych, wobec tłumnie zebranej publiczności. Mężczyźni w tych zapasach nie biorą nigdy udziału, poświęcając się natomiast pielęgnowaniu rannych bojowniczek.

Wszystko to brzmi, jak echo pewnego znanego romansu francuskiego, który przedostał się już nawet na ekran filmowy i dlatego podajemy tę wiadomość z dużem zastrzeżeniem.

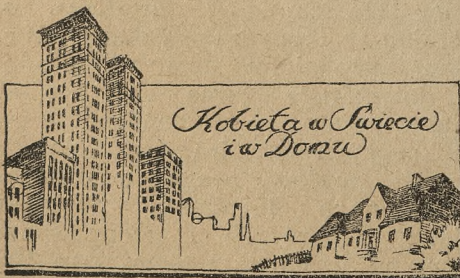
#### POETYCZNE OGŁOSZENIE.

W jednym z pism, wychodzących w Niebieskim Imperjum, ukazało się ogłoszenie tej treści:

„Jestem młodem dziewczęciem, pełnem wdzięku. Włosy moje wiją się w kędziory, przypominające chmurki na letnim niebie. Płeć mam jasną, świeżą i pokrytą puszką, jak kwiat; wyraz mej twarzy ruchliwy jest i zmienny, jak listek wierzby płaczącej, kołysany podmuchem wiatru. Czarne moje oczy rzucają błysk, przypominający światło księżyca. Posiadam tyle fortuny osobistej, ile potrzeba, by móc przejść ze swym małżonkiem przez życie, jak w uroczym marzeniu sennem, ręka w rękę, z palcami splecionymi, za jedyne zajęcie mając w dzień — liczenie chryzantem, co rosnać będą na naszej drodze, a w nocy gwiazd, błyszczących nad nami. Jeśli ogłoszenie to zwróci na siebie oczy człowieka szlachetnego, rozumnego i o miłej powierzchowności, pragnęłabym połączyć się z nim na całe życie, a po śmierci — spoczywać u jego boku w grobie z różowego marmuru“.

Trzeba mieć, zaiste serce z kamienia, aby się nie wzruszyć tak poetyczną propozycją!

Z. B.



#### PANI MILLERAND.

Pani Millerand — żona b. prezydenta Francji — była, śmiało rzecz można, dobrym duchem pałacu Elizejskiego. Nienawidząca intryg politycznych, wszelkiego protekcjonizmu, nie chciała nigdy używać w tym kierunku wpływu swego na męża, wyrażając się energicznie: „la protection c'est la corruption“. Skromna i osz-



## WIZYTA

Wizyta, klasyczna wizyta z epoki przedwojennej, strojna, sztywna, w niezmiennie karby ujęta, należy dzisiaj do szeregu anachronizmów. Typ kobiety światowej, dla której przepisy *savoir vivre* stanowiły szereg nienaruszonych przykazań, zaginał w zawierusze wojennej! Dzisiaj mamy przeważnie dwa typy — jeden, który strząsnął z bark swoich ciężar zbytecznych konwenansów, idąc ku szerokim horyzontom, drugi, który naprędce chłonie w siebie kulturę towarzyską, nie zdając sobie sprawy z wyrafinowanej subtelności podjętego zadania.

W gorące dzisiejszego życia, wizyta, jako taka, straciła prawo obywatelstwa! Odwiedza się ludzi sympatycznych nam i przyjemnych, w chwilach wolnych od jakiejś walki, czy to o byt, czy o zdobycie kwalifikacji do podjęcia tejże. Godzina, strój, liczba spędzonych w danym środowisku minut, czy kwadransów staje się rzeczą drugorzędną; ważniejszym jest sposób, w jaki się przyjmuje gościa i co mu ta wolna chwila, z trudnością nieraz, zdobyta przyniesie. Dobre, miłe wrażenie, wyniesione z serdecznej, pełnej zrozumienia i odczucia pogawędki, zastąpi i wynagrodzi tysiącrotnie czczą paplaninę na tle najpiękniejszych nawet salonów. W stosunkach bezceremonjalnych, a serdecznych najmiłsze jest zwykle tak zwane „wpadnięcie” na chwilę, bez uprzedniego umawiania się i zapowiadania, baczyć jednak trzeba na to, czy w danym momencie obecność nasza, z jakichkolwiek względów nie jest kłopotliwą, Nic przykrojszego, jak najmiłszy nawet gość — nie w porę. Pierwszym warunkiem zdobycia sobie popularności towarzyskiej i zasłużenia na ogólną sympatię jest: swoboda (w dobrym tonie) i uprzejmość, dalszym, ała niemniej ważnym, unikanie mówienia o sobie i zbytecznego wnikania w sprawy i w życie bliźniego swego. Osoba taktowna, dyskretna, o pogodnym, równem usposobieniu, przystosowująca się łatwo do drugich, uważająca ała i uprzejma względem starszych, gotowa zawsze dać ze siebie, nie żadna atencji i względów, może zawsze liczyć na sympatię ludzką, a w kole znajomych stanie się wkrótce nieocenioną i poszukiwaną towarzyszką.

Strój, to dziś rzecz drugorzędna. Dobrze skrojony, o estetycznej linii kostjum, świeża bluzeczka, mały, głęboko na dobrze uczesaną główkę wsunięty kapelusik, ładnie obute nóżki, kropla dyskretnych, wykwiutnych perfum, maleńka, barwna, ciekawie z kieszonki wyglądająca chusteczka, jakiś niewielki, modnego fasonu woreczek, oto i sylwetka, którą rzucić można zarówno na tło wykwiutnego buduaru, jak i skromnych czterech ścian, w których zamyka się dzisiaj, tak często, najbujniejszy kwiat ludzkiej egzystencji. Jeszcze jedno przykazanie: nigdy nie starać się przytłoczyć drugich przepychem stroju swego — jest to eksperyment, który najczęściej chybia i niesmak zostawia.

W ubraniu wyborowa skromność, w zachowaniu pełna zrównowazenia i pogody uprzejmość, oto dwa największe skarby towarzyskie.



Wskazówki  
praktyczne

## MÉNU OBIADOWE.

Na specjalne żądanie czytelniczek „Bluszczu” zaczynam nanowo jadłospisy, przy czem nie mogąc podawać cen produktów, gdyż są one ogromnie rozmaite, zależne od miejscowości, będę podawała, o ile można najściślej ilości potrzebne do przrządania tych potraw. Pod względem dobrych potraw będzie mi też trudno zadowolnić rozmaite kategorie czytelniczek, — skala budżetów i wymagań jest tak niesłychanie duża — produkty najłatwiejsze do zdobycia i przez to stanowiące przedmioty codziennego użytku, w różnych miejscowościach są różne. W dużych miastach naprzykład jada się dużo wołowiny, wieprzowiny, wędlin gotowanych, — na wsi i w małych miasteczkach drób, (wiosną zwykle kurczęta), cielęcina i młoda baranina są tanie i doskonałe. Niektóre okolice kraju, naprzykład Pomorze, obfitują w ryby, — inne znowu ryby za niedościgniony zbytek uważają. Z góry więc muszę przeprosić moje czytelniczki, że nie wszystkie zadowolnić potrafię. Będę dawała co tydzień dwa obiady, jeden bardzo skromny, drugi nieco wystawniejszy, urozmaicając je w granicach na jakie obecna drożyna pozwala, — gdyż nawet te wystawniejsze obiady będą oszczędne. Poza tem będę się starała wprowadzić do tych obiadów dużą ilość potraw z jarzyn, mąki, jaj i nabiału, nie usuwając z nich jednak mięsa, do którego i nasze organizmy przywykły, i na których tradycyjnie kuchnia polska się opiera. Sądzę, że takie urozmaicenie nieraz jest dla zdrowia pożytecznem. obiady będą obliczone na pięć osób.

**Obiad skromny.** Rosół z cielęciny z kluseczkami francuskimi. Mostek cielęcy osmażony, purée kartoflane, sałata głowiasta ze śmietaną. Kompot z moreli suszonych.

Kilo mostka cielęcego, jedna marchew, jedna pietruszka, parę gałązek kopru, dwa duże jaja, łyżka masła, ćwierć funta najlepszej mąki, sól. — Jedno jajko do utarzenia cielęciny po ugotowaniu jej, wyjęciu kości i pokrajanu na ładne kawałki, łyżka mąki i jedna bułeczka utarta do osypania mięsa, cztery łyty szmalcu do osmażenia mięsa; trzy funty kartofli na purée, szklanka mleka, dwa łyty masła.

Dwa krzaki głowiastej sałaty; trochę koperku, sól, łyżeczka cukru, półkwaterek śmietany, — kto lubi kwaśniej, może dodać łyżkę octu lub sok z pół cytryny.

Pół funta śliwek suszonych, ćwierć funta cukru, (kto lubi słodko, może wziąć pół funta cukru, parę goździków lub kawałek cynamonu).

**Obiad lepszy.** Chłodnik. Forszlak cielęcy z nerką, pieczony, makaron włoski z serem ostrym. Szparagi z sosem żółtkowym. Jabłka smażone w cieście, (na prowincji może się nie da wykonać, Warszawa przepelniona jabłkami kanadyjskimi, — w braku ich z tegoż ciasta usmażyć oładeczki).

Litr zsiadłego mleka, kwatorka śmietany, pęczek botwinki, trzy jaja na twardo, koperku, szczypiorku, kawałek około ćwierci funta cielęciny pieczonej lub szynki gotowanej, chcąc podać chłodnik wykwiutniej, dziesiątek szyjek rakowych.

Kilo forszlaku z nerką, dwa łyty szmalcu, ćwierć kilo makaronu włoskiego, dwa łyty sera ostrego.

Trzy ćwierci kilo szparagów, łyżka masła, łyżka mąki, jedno żółtko, filiżanka rosółu lub smaku, w którym się gotowały szparagi, łyżeczkę cukru dodać do osolonej wody, w której się będą gotowały szparagi.

Pół funta jabłek, trzy ćwierci funta mąki, dwa do trzech jaj, ćwierć funta cukru, kawałek wanilii, pół funta szmalcu.



## • Z TEATRÓW.

Jules Romains — „Knock, czyli Triumf Medycyny”. Teatr Mały. Reżyserował R. Ordyński).

— Z każdego człowieka można zrobić pacjenta, tak zwani zdrowi, to są chorzy, którzy nie znają swego stanu! — W imię takiej zasady rozpoczyna praktykę lekarską w zapadłej dziurze podgórskiej dr. Knock, odkupiwszy od zbankrutowanego poprzednika za psie pieniądze nieliczną klientelę o końskim zdrowiu.

I oto cudotwórczy genjusz d-ra Knocka przekształca w niespełna trzy miesiące całe miasteczko w monstrualny szpital, w metropolję farmacji, Mekkę medycyny. Krótką diagnozą, jednym błyskiem profesorskich binokli, wprowadza Knock swych pacjentów w stan agonji, świdruje im kawerny w płucach, przewierca kiszki wrzodami o niesłychanych nazwach łacińskich, a najmocniejsze klapy sercowe doprowadza do drżączki chronicznej i do... klapy. Dwór i chata, lud siermiężny i surdutowcy — tłumami biorą udział w „triumfie medycyny” i wloką się jako jeńcy za zwycięskim rydwanem lekarza, który ich na łoża powalił i z łoża podźwignął, nakarmiwszy kilogramami najdroższych medykamentów, od których nawet czerstwa, wygarbowana, chłopska powłoka bieleje, niczem panińska skórka.

Jules Romains unowocześnił temat Moljerowski w fantazji, przemienił cały departament Francji w „Chorego z urojenia”, złożwszy uroczystą ośmetnicę, iż takim chorym stanie się rychło nowy i stary świat, na którym grasować i płać szelmowskie sztuczki będą dyplomowani potomkowie matacza — Skapena.

Jules Romains, twórca „Unanimizmu” w literaturze, w nauce zainaugurował metaoptykę, dowodząc, iż skóra ludzka usiana mnóstwem mikroskopijnych źrenic, może zastąpić ociemniałym wzrok... Wprawdzie słuszności swego twierdzenia aeropagowi rzeczoznawców nie dowiódł, wykazał jednak pomysłowość zdumiewającą: — pomysłowość ta w dziedzinie artystycznej osiąga skutki niewątpliwe i cenne.

Wybornie prowadzony i ani na chwilę nie zniżający w tym sezonie lotu Teatr Mały raz jeszcze zapoznał Warszawę z nowym dla niej pisarzem dramatycznym. Przedstawienie świetne, wyreżyserowane przez Ryszarda Ordyńskiego, stało na wysokości francuskiego wzoru.

Małe arcydzieło groteski przyniosły kreacje pp. Maszyńskiego i Orwida. Dzięki tym artystom komedia Romains'a, aczkolwiek pozbawiona konwencjonalnego węzła dramatycznego i choćby cienia intrygi miłosnej, doskonale zabawiła publiczność. Na uznanie zasłużył cały zespół artystyczny.

„Triumf Medycyny” w Teatrze Małym przypadł równocześnie z wieścią o rychłym zamknięciu „Komedji”, w której niezadługo zagnieździć się ma na nowo kinematograf. Wiadomość o smutnych losach tej wesołej scenki wywiera znacznie mniej przygnębiające wrażenie, niż powtarzane do niedawna wróżby o niepewnych — jakoby — losach Teatru Małego. Wbrew domniemaniu pesymistów, artystyczny teatr eksperymentalny, zwyciężył swą sąsiadkę — lekką jak farsa — „Komedję”. Świadczy to chlubnie o poziomie intelektualnym wyboru publiczności warszawskiej, a dla zasłużonego dyr. Szyfmana będzie ceną wskazówką orientacyjną w planie kampanji przyszłego sezonu.

W. Mil.

Pani Elżbieta.

**BARDZO WAŻNE!****BARDZO WAŻNE!****Od Administracji.****DO SZANOWNYCH PAŃ PRENUMERATOREK!**

Prosimy o uregulowanie zaległej prenumeraty, najpóźniej do dnia 25 b. m., po którym to dniu, wszystkim Szan. Pren., zalegającym choćby z najmniejszą kwotą, wysyłkę tygodnika wstrzymamy. Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy należność dodatkową w kwocie 50 groszy. Istnienie „BLUSZCZU“, jego regularna wysyłka Szan. Pren. zależne są wyłącznie od punktualności w uiszczaniu prenumeraty. Stwierdzamy, że wysyłka „Bluszczu“, jest przez Adm. bardzo dokładnie sprawdzana i ewentualne niedokładności w otrzymywaniu numerów przez Sz. Prenum. nie pochodzą z winy Admin., która wszystkie numery—ze względu na uiszczanie opłaty poczt. ryczałtem—dostarcza Urzędowi poczt. za konsygnacją. Wysyłkę „Bluszczu“ wstrzymujemy po otrzymaniu zawiadomienia o przerwaniu prenumeraty, lub też w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca, co nie zwalnia od uiszczenia należności za wysłane a przyjęte przez prenumerat. numera. **W razie nie otrzymania „Bluszczu“ we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną, która nie jest wolną od opłaty pocztowej, jak to mylnie podano w komunikacie Adm., umieszczonym w poprzednim numerze.** Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.** Przy przesyłaniu należności za prenumeratę czekiem P. K. O., jak również przy zamawianiu listownym tygodnika, należy podać dokładny i wyraźny swój adres.

„Bluszczy“ wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót, oraz dodatek powieściowy formatu książki, zaś raz w miesiącu do pierwszego n-ru. po 15-ym, bezpłatnie, tablicę krojów, do drugiego nr., za dopłatą do pren. miesięcznie 50 groszy, arkusz naturalnej wielkości wzorów haftów do kopjowania na materiale. Do przyszłego n-ru. dołączamy arkusz z bardzo ładnymi szlaczkami bez dopłaty. Prosimy o rozpowszechnianie „Bluszczu“ w kołach swoich znajomych. Panie, które zjedną nam 5 nowych prenumeratorek, wpływających prenumeratę półroczną z góry, otrzymają „Bluszczy“ do końca roku bieżącego **bezpłatnie.**

## LEGUMINA KRAKOWSKA.

Szklankę mанны albo kaszki krakowskiej, pół szklanki cukru i dwie szklanki świeżej śmietany dobrze wymieszać, niech stoi dwie godziny. Wlać potem kieliszek araku, dodać trochę otartej skórki pomarańczowej, albo cytrynowej, albo wanilji, albo kilka gorzkich migdałów, włożyć wszystko w formę trochę wysmarowaną masłem i zapiec w piecu. Podaje się w formie. Proporcja na 6 osób. Bardzo łatwa i smaczna legumina. Sok do niej zbyteczny.

Z.

**OPIS SUKIEN I ROBÓT  
DO Nr. 25**

163. Kostjum z piaskowej gabardiny z odcinaną falbaną.

164. Suknia z fiołkowego kreponu, falbany haftowane.

165. Suknia z popielatego woalu, przybrana plisą i haftem koloru wiśniowego.

166. Suknia na ulicę z brązowego crepe marocain, przybrana materiałem deseniowym.

167. Ubranko dla chłopczyka od lat 5—9. Majteczki z granatowej dymki, bluzka z płócienka białego w granatowe kropeczki, kołnierzyk biały.

168. Sukienka dla dziewczynki od lat 6—8 z satyny deseniowej i gładkiej.

169. Sukienka dla dziewczynki od lat 6—9 z kreponu blado lila.

170. Suknia z gładkiego fularu, przybrana fularzem deseniowym.

171. Suknia z gładkiej satyny, przybrana kretonem, lub satyną deseniową

172. Bluzka z białego eponge'u, haftowana kilkoma barwnymi kolorami, wykończona drobnymi grelołkami.

173. Suknia z gładkiego crepe marocain i deseniowego fularu.

174. Sukienka dla dziewczynki od lat 8—13 z białego płótna, przybrana plisą niebieską.

175. Fartuszek dla dziewczynki od lat 6—10 z deseniowego kretonu, lub satyny.

176. Sukienka dla dziewczynki od lat 4—6 z blado-różowej markizety, przybrana wąskimi wstążeczkami.

177. Bluzka z surowego jedwabiu z żabotem plisowanym.

178. Suknia z satyny deseniowej z karkadą w jednym kolorze.

179. Suknia z fularu deseniowego, przybrana gładką plisą i guziczkami.

180. Suknia z różowej markizety, lub crepe de chine'u. Przód i falbana drobno plisowane. Kokardy z czarnej aksamitki.

181. Szlaczki do wyszywania na kanwie.

182 i 183. Motywy na suknie — haft kolorowy.

184. Motyw na kapeluszu — haft kolorowy.

**UWAGA:** Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku mód nabywać można w Administracji „Bluszczy“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.

ATRAMENTY

92 „KOLORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

Korespondencję dotyczącą mód i robót należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód „Bluszczy“. Zamówienia nie należy skuteczniczać na blankietach czekowych P. K. O.

Do dzisiejszego numeru dodajemy tablicę krajów.

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

	TEATR WIELKI	ROZMAITOŚCI	LETNI	POLSKI	MAŁY	KOMEDJA
Niedziela 22/VI	„Faust“	„Ścieżki cnoty“	„Dwaj Mężowie p. Marty“	„Miłość oczuwa“	„Knock“	„Małżeństwo Fredeny“
Poniedz. 23/VI	„Madame Butterfly“	„Głupi Jakób“	„ „	„ „	„ „	„ „
Wtorek 24/VI	„Violetta“ i „Pajace“	„Inżynier R. H.“	„ „	„ „	„ „	„ „
Środa 25/VI	„Goplana“	„Ścieżki cnoty“	„ „	„ „	„ „	„ „
Czwartek 26/VI	„Manon“	„Głupi Jakób“	„ „	„ „	„ „	„ „
Piątek 27/VI	„Carmen“	„Cyd“	„ „	„ „	„ „	„ „
Sobota 28/VI	„Faust“	„Ścieżki Cnoty“	„ „	„ „	„ „	„ „
Niedziela 29/VI	„Straszny Dwór“	„Głupi Jakób“	„ „	„ „	„ „	„ „

**Polecamy doskonałe mydło przeciw łupieżowi**



TOW. AKC. „Fr. Karpiński“  
W WARSZAWIE.

**QUAKER OATS**



oryginalne  
**p ł a t k i**  
**owsiane**  
dla dzieci,  
chorych

i rekonwalescentów,  
niezmiernie pożywne  
i lekko strawne

SPRZEDAŻ HURTOWA  
Tow. Akc.

**Lambert i Krzysiak**

WARSZAWA, NIECAŁA № 8.

228

Tow. Akc. Fr. KARPIŃSKI  
w Warszawie.

POLECA: O PRZYJEMNYM ZAPACHU

**Mydło od łupieżu**

niszczy łupież, wzmacnia cebulki, doskonale działa na porost włosów.

211

DORAŻNA POMOC  
**Lekarzy Specjalistów**  
w Warszawie  
**„AUXILIUM”**

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy

KONSYLJA

222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

**ARTRETYZM i REUMATYZM**

Radykalnie leczy

„Vittel Grande Source”

SÓL NATURALNA { pudełko 12 rurek  
1 rurka na litr wody

PASTYLKI o przyjemnym smaku

SKŁAD  
GŁ. WNY: L. Nasierowski i S-ka

Apteka, Marszałkowska 21, tel. 30-42, 7-31 i 124-39

Sprzedaż we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

203



dla  
delikatnej  
białej  
cery

**OLE** i wszelkie przybory pszczelnicze  
**MIÓD** w najlepszych gatunkach  
**WOSK** do robót batikowych stale na składzie

ZAKŁAD PSZCZELNICZY  
P. F. STEFAN MIESZKOWSKI  
WARSZAWA, UL. WSPÓLNA № 36.

**PIEGI** radykalnie usuwa,  
od 20 lat znany  
**KREM LANOL**

Parfumerie d'Orient - Kalotechnika, Warszawa  
237

**Dr. I. SADOWSKA**

Krakowskie Przedmieście 7.

Leczenie Seborrei, trądzika, włosów,  
opierzchnięcia, czerw. twarzy. nosa.  
151 Kosmetyka lecznicza.

**Opaski:** dla pań korpulentnych,  
przeciw obwisłości  
brzucha, po operacyjnej, na latającą  
nerkę, przeciw obniżeniu żołądka, po  
przebytem położu it. d.

**Bandaż:** na przepukliny  
brzucha, pępka  
pachwiny i t.p.

Prostotrzymacze. Pończochy gumowe  
i t. d. poleca bandażyza

**M. Polaczek** — w Samborze  
180 (cenniki fr. i gr)

**W Krynicy** jak ubiegłe  
lata  
**ORDYNUJE:**

Dr. Med. Ludwik Korybut - Daszkiewicz  
Willa „Trzech Róż”

227

**PRENUMERATA „BLUSZCZU”**

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie . . . . . 42 zł. — gr.  
kwartalnie . . . . . 10 „ 50 „  
miesięcznie . . . . . 3 „ 50 „

Wraz z arkuszem wzorów do kopjowania  
o 50 groszy więcej miesięcznie.

Zagranicą:

miesięcznie . . . . . 7 zł. — gr.  
zmiana adresu . . . . . — „ 30 „

**CENY OGŁOSZEŃ:**

Cała strona . . . . . 90 zł. — gr.  
1/2 „ . . . . . 51 „ 75 „  
1/3 „ . . . . . 29 „ 25 „  
1/4 „ . . . . . 15 „ 75 „  
1/8 „ . . . . . 9 „ — „  
1/16 „ . . . . . 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się  
nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń  
Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje  
wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia  
zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony  
przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogło-  
szenie drobniejsze ma być powtarzane,  
za każde trzy razy należy wnieść należność  
z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,  
Koło Polek, telefon 239-40.  
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

**SOLIDNIE!** **TANIO!**

**NA SEZON WIOSENNY**

Etole, lisy, pelerynki, kołnierze  
**POLECA**

**SKŁAD FUTER**

**K. STASZEWSKI i K. MASŁOWSKI**

Warszawa, KRUCZA 26

TELEFON 223-70

Przeróbki, farbowanie sposobem  
lipskim.

**NAJWIĘKSZY MAGAZYN  
UBIORÓW MĘSKICH**

**St. Czapińskiego**

Miodowa № 4.

235

**KRAWIEC DAMSKI**

Mistrz Cechowy

**NAPOLEON RODZIK**

ZIELNA 4 m. 3 tel. 244-27.

POLECA TYLKO NA ZAMÓWIENIA

Letnie, Kostjomy i Płaszczki z własnych  
i powierzonych materiałów. 196

**FABRYKA TRYKOTAŻY**

**JAN MATUSZEWSKI**

NOWY-ŚWIAT 40.

175

— Sprzedaż hurtowa i detaliczna. —

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU  
**PIG. CHLOROFILOWE**  
GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza  
apetyt i wzmacnia organizm.

PRALNIA CHEMICZNA

**STEFANJI SZYCHOWSKIEJ**

W WARSZAWIE, UL. MOKOTOWSKA 41.

!!! CENY PRZYSTĘPNE !!!

214

**SKŁAD  
APTECZNY Tadeusza Hermanowskiego**  
WARSZAWA

Koszykowa № 22, róg Mokotowskiej  
Telefon № 233-05

Wody mineralne, naturalne i sztuczne.  
Środki opatrunkowe. Wyprawy położnicze.  
Wyroby gumowe. Oliwa niejska. Octy wy-  
borowe. Perfumy i kosmetyki krajowe i za-  
graniczne

219

**OGŁOSZENIA**

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ,  
T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—  
Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”—Długa 9 i 1. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.